

Zielonki w Taurach

Któregoś dnia skrobnałem artykuł do gazetki zakładowej. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zamieścić go również na stronie w formie relacji. Poniżej zacytowanego tekstu dodam komentarz.

Grosses Wiesbachhorn to trzeci co do wysokości szczyt Wysokich Taurów. Wznosi się na wysokość 3564 m n.p.m.

Decyzja o wyborze tego celu zapadła zaledwie na 2 dni przed wyjazdem. Podyktowana była różnymi czynnikami, między innymi prognozą pogody i odległością od domu. Również stopniem trudności, gdyż dla dwójki uczestników była to dosłownie pierwsza w życiu tak wysoka góra. Jednak kto stanie przed obliczem Wiesbachhorna nie odważy się nazwać tej góry określeniem łatwej. Czekало na nas 800 metrów stromego podejścia do schroniska, nieco dalej zaś „straszył” 30 metrowy skalny stopień. Po wspięciu się na niego, stromym stokiem dostaliśmy się na Unterer Fochezkopf. Już w tym momencie mogliśmy spojrzeć na świat z wysokości ponad 3 tysięcy metrów. Od szczytu dzieliło nas jeszcze 550 m. Po kolejnych godzinach wysiłku, przy idealnych warunkach pogodowych stanęliśmy na wierzchołku. Tu poznaliśmy niezwykłego człowieka – 76-cio letniego uśmiechniętego mężczyznę, który z powodzeniem wciąż zdobywa alpejskie szczyty. Nie mogę pominąć też faktu, który wyszedł w rozmowie, że zdobył on aż 3-krotnie Mont Blanc – ostatni raz gdy miał 62 lata. Czy to umniejszyło naszym dokonaniom? Na pewno nie. W góry każdy jeździ ze swoich własnych powodów. Często jest to przewyciężanie słabości, sprawdzanie siebie samego w trudnych warunkach jednocześnie doświadczając pracy zespołowej na najwyższym poziomie (dosłownie i w przenośni). O to, co tym razem zmotywowało nas do wyjazdu trzeba by zapytać każdego z osobna.

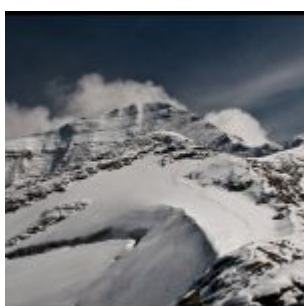


Komentarz do wyjazdu i relacji:

Komentarz się należy, ponieważ wyjazd ten był dla mnie wyjątkowy. Nie wiem, czy tak do końca potrafię wyjaśnić dlaczego, ale prawdopodobnie chodzi o specyficzny skład. Impulsem do wyjazdu była działowa impreza integracyjna w knajpie. Jak to bywa podczas takich imprez, człowiek bywa pod wpływem. Nie tylko pod wpływem alkoholu, ale również kolegów. Ci zagadali mnie, czy bym ich w góry nie zabrał. No i obiecałem, a skoro obiecałem, to pojechaliśmy na „Wiesbacha” (po jakimś czasie, czyli na trzeźwo). Wchodziłem już wcześniej z „zielonkami” na wyższe góry (Monte Bianco 2009 i 2016), ale tym razem było inaczej, ponieważ najogólniej rzecz biorąc, jeden z uczestników posiadał alpejskie serce, a drugi siłę. Pomimo tego, albo właśnie dzięki temu – wyjazd zakończył się sukcesem. Nie tylko chłopaków, ale szczerze przyznaję, że również moim. We trójkę stanęliśmy na szczycie o wysokości 3564 m. Jest to wyczyn niezwykły, ponieważ żaden z dwójki uczestników nie mógł przewidzieć, co go czeka. Skalny stopień, którym mimo sztucznych ułatwień trzeba było się wspiąć, a także strome stoki i ostra grań prowadząca na szczyt była dla Sebastiana wyzwaniem. Wyzwaniem, które pokonał. Dla Tomka trudnością była długość trasy, śnieg, wysokość. Ale on również się nie poddał i mimo walki o każdy krok dopiął swego. Czuję ogromny szacunek dla nich obu i cieszę się z ich i ze swojego

sukcesu. Ten wyjazd to była prawdziwa frajda. I mam nadzieję, że nie tylko dla mnie!

Na zdjęciach poniżej droga na Grosses Wiesbachhorn, my, piękne widoki, a na jednym ze zdjęć 76-cio letni alpinista. Nie zabrakło też patriotycznego akcentu i wytuptanej nazwy pewnej uroczej miejscowości.









Dziku – człowiek z Similaun

Cel – Alpy Ötztalskie – zdobyte

Kiedy – listopad 2015

Kto – Dziku & Tomek & Rafał & Asia & Dawid

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku

W połowie listopada w roku 2015 po raz 3-ci już przemierzam trasę w górę doliny Niedertal. Szlak ten prowadzi do schroniska Martin Busch Hütte (2501) w Alpach Ötztalskich. Jakże niewinnie wygląda ta droga w takich jesiennych warunkach! Jednak wciąż mam w pamięci 2012 rok, kiedy to z powodu śniegu i wysokiej temp. znaleźliśmy się tu w śmiertelnie niebezpiecznej pułapce. Było to zaledwie miesiąc później, bo w połowie grudnia. Wtedy przejście tych 7 km ze schroniska do miasteczka było prawdziwą loterią. Każdy żleb groził nam zwałami śniegu, gotowymi w każdej chwili ruszyć i porwać nas w dół stromego i długiego stoku, do wąwozu i strumienia. Jak blisko było tragedii przekonaliśmy się wtedy dzień wcześniej, kiedy troje z nas porwała lawina i tylko cudem wyszliśmy z tego cało.



Martin Busch Hütte (2501)

Ale wróćmy do roku 2015, kiedy to dojeżdżamy do Vent i natychmiast ruszamy na szlak. Mimo wczesnego popołudnia krótki dzień szybko uraczył nas ciepłą barwą zachodzącego słońca. Około godziny 14-tej jesteśmy przy schronisku. Zostawiamy bagaże i na lekko ruszamy w kierunku Kreuzspitze (3457).



Skład:

Dziku – ja,

Tomek – ze stałej „drimtimowej” ekipy,

Asia – wspólnie wyjeżdżamy rzadko, ale za każdym razem są to

niezapomniane przygody (Bałkany, Islandia),
Rafał – kolega z pracy – to jego 3-cia przygoda w Alpach, był
ze mną na Schrankogel rok wcześniej,
Dawid – jego pierwsza przygoda z górami to właśnie ta sprzed
paru lat, kiedy to miał okazję pływać w lawinie. Bardzo mu się
to spodobało (pomyślał, że takie atrakcje to normalne) i dziś
robi alpejskie wielowyciągówki.



Na Kreuzspitze prowadzi całkiem łatwe, ale od początku do
końca strome podejście. Jest to zwykła ścieżka, więc idziemy
bez asekuracji. A to znowu prowadzi do tego, że rozciągamy się
na długim dystansie. Każdy biegnie/człapie swoim tempem.
Przystaję na wypłaszczeniu, przy początku feralnego żlebu. To
właśnie tu, przed laty, w gęstej mgle pomyliłem drogę i w
żlebie doszło do wypadku. Ale wtedy było mnóstwo śniegu. Dziś
jest goła skała i wygląda to zupełnie niegroźnie.



Kreuzspitze (3457)

Odwracam się i znów gonię swoim tempem. Co jakiś czas przystaję i czekam na resztę, ale widzę ich dużo niżej. O 15:45 jestem już pod granią. Widzę, że chłopaki odpuścili i wracają. Za to Asia jest całkiem blisko. Decyduję się poczekać na nią już na szczycie więc ruszam dalej, chcę zdążyć na zachód słońca. O 16:30 jestem na wierzchołku i robię sobie zdjęcie pod krzyżem.



Akurat słońce zbliża się do wierzchołków gór i wkrótce za nimi zniknie. Po 15 minutach decyduję się schodzić, ale wtedy z radością stwierdzam, że Asia nie odpuściła i jest już tuż pod szczytem. Zostaję, by zrobić jej zdjęcia i wkrótce razem ruszamy na dół. W tym samym momencie słońce znika za horyzontem. Schodzimy bardzo szybko, ale i tak nie uniknęliśmy marszu w zupełnych ciemnościach.

Wieczorem atakujemy K2! Wprawdzie na planszówce ale i tak są emocje, a Dawid zalicza swój pierwszy 8-tysięcznik.



W tle Fineilspitze (3516)

Rano wychodzimy w komplecie ze schronu z zamiarem wejścia na

Fineilspitze (3516). O 8 rano znajdujemy się już na przełęczy Tisenjoch, pod pomnikiem „Oetziego – człowieka z Similaun”. Od tego momentu towarzyszy nam silny wiatr. Nie są to jednak warunki na tyle ciężkie byśmy mieli zrezygnować. I tak, już o 9:30 cel jest zdobyty. Końcówka grani jest bardzo wąska. A i na samym wierzchołku nie ma co liczyć na więcej miejsca, więc jesteśmy bardzo ostrożni przy „mijankach”. Po symbolicznym dotknięciu krzyża na szczycie każdy robi w tył zwrot i podąża na dół. Nie ma miejsca na cieszenie się widokami przy tak silnym wietrze na ostrej grani.



Rafał na szczycie Fineilspitze

Schodzimy z powrotem na przełęcz i ze względu na wczesną porę nie wracamy, lecz ruszamy granią w kierunku Similaun (3606). I co ciekawe góra ta – uznawana za łatwą – broni się przede mną i tym razem. Czyli już po raz 3-ci! A ciekawe jest to, że praktycznie za każdym razem jestem bez szans.

I tak w 2008 osiągam wysokość około 3400 metrów. Jednak jest wieczór. Słaba widoczność. Zaczyna padać. Jestem sam. W

krótkich spodenkach. Bez raków. Bez czekana. Na lodowiec staram się nie schodzić a wysokość osiągam idąc po kruchej i niebezpiecznej grani. Szczyt ewidentnie był poza moim zasięgiem.

W 2012 docieram paręset metrów od... schroniska! Po czym przez niemal godzinę wracam z powrotem przesuwając się mozolnie metr po metrze zapadając się w głębokim śniegu.

I teraz, w 2015, przy doskonałej widoczności i pogodzie znów nie jestem w stanie dostać się w pobliże szczytu. Już na szlaku prowadzącym do Similaunhütte zatrzymuje nas w kotle głęboki śnieg. Wspinaczka granią jest możliwa ale tylko dla doświadczonych osób. Tylko Dawid i Tomek czują się na siłach by spróbować. Jednak widząc nasze zniechęcenie też odpuszczają. Powrót do schroniska zajmuje nam jeszcze sporo czasu, gdyż chcąc skrócić drogę za każdym razem natrafialiśmy na strome urwiska. Nieunikniony był powrót po śladach do samej przełęczy z pomnikiem. Potem już bez problemu w dół do schronu.

A wieczorem ginie Tomek, ale godnie, bo na K2.



Następnego ranka szykujemy się do powrotu do domu. Ale przygody się jeszcze nie kończą. Dawid z Tomkiem „odrabiają straty” i wcześniej rano wchodzą na Kreuzspitze. My wstajemy nieco później i idziemy obejrzeć Marzellkamm. Jest to boczna grań również prowadząca na lodowiec pod Similaun. Jest to też początek drogi na Hintere Schwärze (3628). Niestety w ostatnich latach nastąpił wielki obryw fragmentu góry. Szlak kończy się na potężnym i stromym gruzowisku. Próba jego przejścia byłaby bardzo ryzykowna. Tu kończymy zwiad i wracamy do schronu. Tomek i Dawid szczęśliwie schodzą ze szczytu i wszyscy razem ruszamy w drogę do miasteczka.

To już definitywne zakończenie udanego, górskiego sezonu 2015.

Dziku

ps. A na Similaun jeszcze wrócę.



W tle Similaun (3606)



Pod szczytem Kreuzspitze



Na szczycie Kreuzspitze



Pomnik Otziego



Na grani Fineilspitze

Kłęska logistyczna

Cel – Alpy Berneńskie – niezdobyte

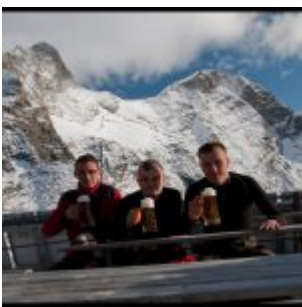
Kiedy – kwiecień/maj 2012

Kto – Dziku & Aga & Tomek

Tekst – Dziku

Zdjęcia – Dziku









27 IV

Godzina 23-cia na niemieckiej autostradzie – jedziemy we troje przytuleni do szyb po stronie kierowcy. W ten sposób odciążamy prawą stronę Forda, gdzie w przednim kole mamy kapcia. Normalnie powinniśmy to koło wymienić na zapasowe, lecz... to właśnie jest zapasowe koło.

Bylebyśmy dojechali do stacji benzynowej bez zniszczenia opony. Inaczej do rana czeka nas siedzenie w aucie i pomoc drogowa. A przecież zaledwie godzinę temu byliśmy w podobnej sytuacji i tylko dzięki Adze kontynuowaliśmy podróż.

Zaczijmy od początku – zawiodły po kolei:

1. Opona – klasyczna guma i zjazd na pobocze autostrady.
2. Klucz do kół – owinał się kilka razy wokół siebie i był bezużyteczny.
3. Ziemia – obróciła się tak, że było zupełnie ciemno i okoliczni mechanicy poszli spać.

Nie zawiodła natomiast Aga, która zabrała mi kamizelkę odblaskową i czołówkę i ustawiła się przy jezdni próbując zatrzymać pędzące przez noc samochody. O dziwo zanim przyjechała die Polizei zatrzymali się Polacy i pożyczyli nam

klucz.

I tu kolejny punkt, który nas zaskoczył:

4. Koło zapasowe – nienapompowane.

I tak, przyciśnięci do szyby wypatrujemy przed sobą światła stacji. Jest! Jesteśmy uratowani. Nie wiemy jeszcze, że będziemy się poruszać jak na przebitych oponach do końca tego wyjazdu.

28 IV

W Andermatt okazuje się, że dalej nie pojedziemy. Przełęcz Furka (2431 m. n.p.m.) jest zamknięta ze względu na zalegający po zimie śnieg. Na mojej mapie jest informacja, że trasa ta jest zamknięta do końca kwietnia (czyli jeszcze przez 2 dni!). Ale ja to przeoczyłem, bo myślałem tylko o tym, że w 4 dni wejść na **6 czterotysięczników**. W głowie miałem już napisaną relację.

Zostawiamy samochód i o 13-tej wsiadamy w pociąg. Ten fragment podróży jest dla nas pocieszeniem, bo trwa w przepięknej alpejskiej scenerii, wśród skąpanych słońcem, ośnieżonych szczytów. Poza tym zdobywamy bilety w całkiem atrakcyjnej, promocyjnej cenie. Popołudniu wyruszamy z ciężkimi plecakami do góry. Tego dnia docieramy do chat przy nieczynnym wyciągu narciarskim. Nie wiem czy bardziej zmęczył mnie marsz, czy pracujący na pełnych obrotach procesor w głowie. Non stop przeliczam wysokości, czas i odległości. Wciąż widzę nas, jeśli nie na 6-ciu, to na pewno na **5-ciu czterotysięcznikach**.

29 IV

Cały dzień leje. Leżąc w namiocie i dłubiąc słonecznik wyliczam, że będziemy musieli zadowolić się **4-ma czterotysięcznikami**.

30 IV

Nie pada! Składamy namiot i pniemy się w górę. Mijamy kolejną stację narciarską i kolejkę na Eggishorn (2927 m n.p.m.). W

tym miejscu spod śniegu wychodzą świstaki wielkości średniej wielkości psa. Ciekawe jak sobie te zwierzęta radzą przez zimę. Chyba im w tych śnieżnych tunelach dobrze bo wyglądają na nieźle spasionie.

Około 12-tej mijamy przełęcz i zostawiając po lewej Eggishorn schodzimy do domku przy jeziorze. Spotykamy tu śmieszne kury. Podczas gotowania obiadu (kur nie złapaliśmy) wynajdujemy patent, który będzie się sprawdzał w kolejnych latach:

1. Gotujemy parówki.
2. Gotujemy makaron wodzie po parówkach, zając je jako przystawkę.
3. Do wrzącego makaronu wsypujemy sos w proszku.
4. Wkrajamy do tego ser i kabanosy.
5. Dodajemy przypraw.
6. Mieszmamy i zjadamy wszystko ze smakiem.

Doskonała potrawa dla 3 osób z wykorzystaniem załedwie pół menażki stopionego śniegu.

O 14-tej wchodzimy na największy alpejski lodowiec. Ciągnie się i wije we mgle niczym wielka, lodowa rzeka. Zaczyna sypać gęsty śnieg, a my coraz bardziej się w nim zapadamy. Coraz bardziej mokrzy, późnym popołudniem decydujemy się rozbić namiot. Stawiamy go w miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy. I tak wszędzie tak samo biało. Nie zdajemy sobie sprawy, że latem wygląda tu zupełnie inaczej. Gdy śnieg się wytopi pokazują się ukryte o tej porze roku szczeliny i znalezienie tu miejsca na namiot jest bardzo trudne. Układając wokół siebie i w śpiworze mokre ubrania i buty kładziemy się spać.

Myślę, że wejdziemy tylko na **3 czterotysięczniki**.

1 V

Cały dzień sypie śnieg. Widoczność bardzo marna. Gramy w statki, w szubienicę lub odgadywanie wymyślonych słów. Gotujemy, trochę śpimy, lub po prostu leżymy bez ruchu. Po

drugim dniu i w sumie 10-tej godzinie gapienia się na metkę z przekreśloną zapałką zaczynam się zastanawiać, czy to jest ok, że odpalamy w środku namiotu palniki gazowe. Przenoszę wzrok na ścianki sypialni. Znam już każdą kropkę i plamkę pleśni. Ppopołudniu zrozpaczeni uświadomiamy sobie, że skończył się słonecznik. Ołówek też jest już na wyczerpaniu.

Nie poddajemy się – składamy namiot i próbujemy przedostać się pod jeden ze szczytów. Po dwóch godzinach torowania z ciężkimi plecakami decydujemy się znów rozbić obóz.

Stąd mamy w zasięgu przynajmniej **2 czterotysięczne szczyty**.

2 V

Całą noc sypie śnieg. Rano już wiemy, że mamy tylko jedną próbę. No trudno, niech chociaż **1 czterotysięcznik** uda się zdobyć. Po trzech godzinach torowania w śniegu do samych jajek poddajemy się. Z zaciętymi minami pakujemy się i o 14-tej zaczynamy morderczy marsz po lodowcu. Jeszcze tego samego dnia docieramy do miejsca, w którym możemy go opuścić. Mamy serdecznie dość maszerowania we wszechogarniającej bieli. Przypuszczam, że gdyby było trzeba to szlibyśmy nawet po ciemku byleby tylko zostawić za sobą lodowiec i skiturowców pytających w różnych językach „a wy gdzie zgubiliście narty?”. Rozbijamy namiot niedaleko chatki przy jeziorku.

3 V

Rano wychodzimy z namiotu i... świeci słońce! Humory nam się poprawiają. Szczera się białe zęby na spalonych od słońca pyskach. No właśnie – to była dla nas nowość. Pomimo, że przez ostatnie parę dni nie widzieliśmy kawałka nieba zostaliśmy porządnie spieczeni. Jest nauczka na przyszłość, by na lodowcu smarować filtrem twarz nawet przy paskudnie pochmurnej pogodzie.

O 11-tej wchodzimy na przełęcz. Jeszcze niebezpieczny trawes na stoku Eggishorna, stacja kolejki, domki, las i – po 9-ciu godzinach marszu – jesteśmy w miasteczku Fiesch. Dochodząc do

stacji widzimy stojący na peronie pociąg. Nie śpieszymy się, możemy pojechać kolejnym. Pociąg odjeżdża, a my dowiadujemy się, że to był ostatni tego dnia. To jest już dla nas za wiele. Idziemy do miasta szukać sklepu z winem.

Przed zmrokiem udajemy się do wypatrzonej pod lasem na wpół zawalonej chatki. Tam spędzamy noc.

4 V

Rano mocno się wykosztowujemy na bilety powrotne (niestety promocja działała tylko w jedną stronę) i jedziemy do Andermatt. Na miejscu tradycyjnie kąpiel w publicznej, dworcowej umywalce i jedziemy ponad 1000 km do domu.

Ten wyjazd był jednym z najdroższych i teoretycznie jednym z najbardziej nieudanych alpejskich wypadów. Ale jak każdy wyjazd czegoś nas nauczył. Np. tego, że kwiecień i maj to nie najlepsza pora na wędrowkę z plecakiem po Alpach. Albo tego, że w tej samej wodzie można ugotować kilka składników. Ale przede wszystkim tego, z czego chyba dopiero później zdałem sobie sprawę – potwierdziła się tam pewna ważna sprawa. Otóż wiem, że z Agnieszką, Tomkiem i Pawłem (który tej logistycznej porażki uniknął) jestem w stanie dzielić nie tylko sukcesy, ale i porażki. Tworzymy doskonale zgraną ekipę, zachowującą dobry humor i niepodatną na konflikty nawet, gdy trzeba przez kilka dni leżeć bez ruchu na 3 metrach kwadratowych.

Dziku

– END –

Obster

Zerkam na historię wpisów. W 2013 miesięczna wyprawa w Pamir i zdobycie 7-tysięcznika. Wcześniej – w lutym – zimowy trening w Alpach, kilka dni w paskudnym mrozie, wejście na Breithorn. Paweł zjeżdża ze szczytu na nartach. My zamierzamy zjechać kolejką ale... Szwajcarzy nas bzyknęli i urwaliśmy może parędziesiąt minut zejścia (za paręset złotych).

Na przełomie października i listopada jedziemy na Piz Linard. Szczyt pięknie się prezentuje z trasy w okolicy miasteczka Lavin. Nie rozczarowaliśmy się. Dawid zdobywa swój pierwszy alpejski szczyt. Przekonuje się też, że nie na każdym wyjeździe porywa nas lawina (patrz relacja z grudniowego wyjazdu w Góry Oetztaleskie, która to relacja jeszcze nie powstała).

Na kolejny wyjazd w Alpy czekaliśmy rok. W październiku 2014 wyjeżdżamy na cały tydzień do Austrii. Pogoda nieco psuje plany ale widok ośnieżonych szczytów, dotknięcie nogą i ręką skały już same w sobie powodują wzmożenie apetytu. Już od tamtej pory ustalamy plan na 2015.



fot. Jarosław Kruk

Czerwiec 2015

kto: Grzechu, Tomek, Dzik, Aga

kiedy: VI 2015

gdzie: Hochgall w Grupie Rieserferner (3436 m n.p.m.)

Do Patscher Alm (1685 m n.p.m.) przyjeżdżamy po niecałych 10 godzinach jazdy z Wrocławia. Około godziny 10:30 ruszamy w kierunku schroniska Barmer Hutte (w tym roku otwarte od 16.06). Dojście do schroniska na wysokości 2591 m zajmuje nam 3h. Uznajemy to za całkiem dobry czas. Idziemy przecież z ciężkimi plecakami (namioty, śpiwory). Po krótkim odpoczynku podchodzimy jeszcze nieco wyżej na skały i tu rozbijamy obóz. Jeszcze tego samego dnia idziemy na zwiad i wchodzimy na przełęcz Riepenscharte (2764). To ostatnie chwile ładnej pogody więc cieszymy oczy pięknym widokiem na Dolomity.



20-go czerwca ok. godziny 5:20 ruszamy w kierunku szczytu Hochgall. Do kuluaru prowadzącego na grani idzie dobrze. Jednak przy wejściu w kuluar widoczność spada drastycznie. Zaczyna padać gęsty śnieg. Z każdym krokiem jesteśmy bardziej przekonani, że nie warto ryzykować. Nawet jeżeli uda nam się dojść do grani a potem na szczyt to czy uda nam się bezpiecznie wrócić? Asekuracja nie bardzo wchodzi w grę. Temperatura jest wysoka. Lawina w czerwcu? W tych warunkach to możliwe. Zawracamy.



Około godziny 13:30 tego samego dnia postanawiamy wyruszyć na zdobycie szczytu Barmer Spitze (3200 m n.p.m.). Tak na pocieszenie. Podejście z naszej perspektywy wygląda banalnie. Już na śnieżnym stoku u podnóża widzę się na szczycie. I jak to w takich przypadkach bywa – góra daje lekcję pokory. Śnieżny stok zaczyna być coraz bardziej stromy. Pod sam koniec brniemy w głębokim śniegu grożącym w każdej chwili obsunięciem. Gdy dochodzimy do skał morale w grupie słabnie. Skałny próg straszy kolejnymi trudnościami. Wdrapuję się na niego już praktycznie bez wiary w zdobycie szczytu. Kiedy moje stopy znajdują się nieco powyżej głów towarzyszy już zaczynam żałować, że nie zawróciłem. Od tej pory drapię się do góry jedynie w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia by założyć zjazd.



fot. Jarosław Kruk

Tymczasem tu każdy kamień wydaje się być luźny. Odgrzebuje spod śniegu rysy, nierówności, na których będę mógł oprzeć zęby raków. Wciąż posuwam się do góry – choć mentalnie już wracam. Przeklinam to gruzowisko. Wiem, że jeśli wybralibyśmy się tu całą grupą to ciężko byłoby uniknąć zrzucania na siebie kamieni. Ale nareszcie – jest wystająca skała, która nie

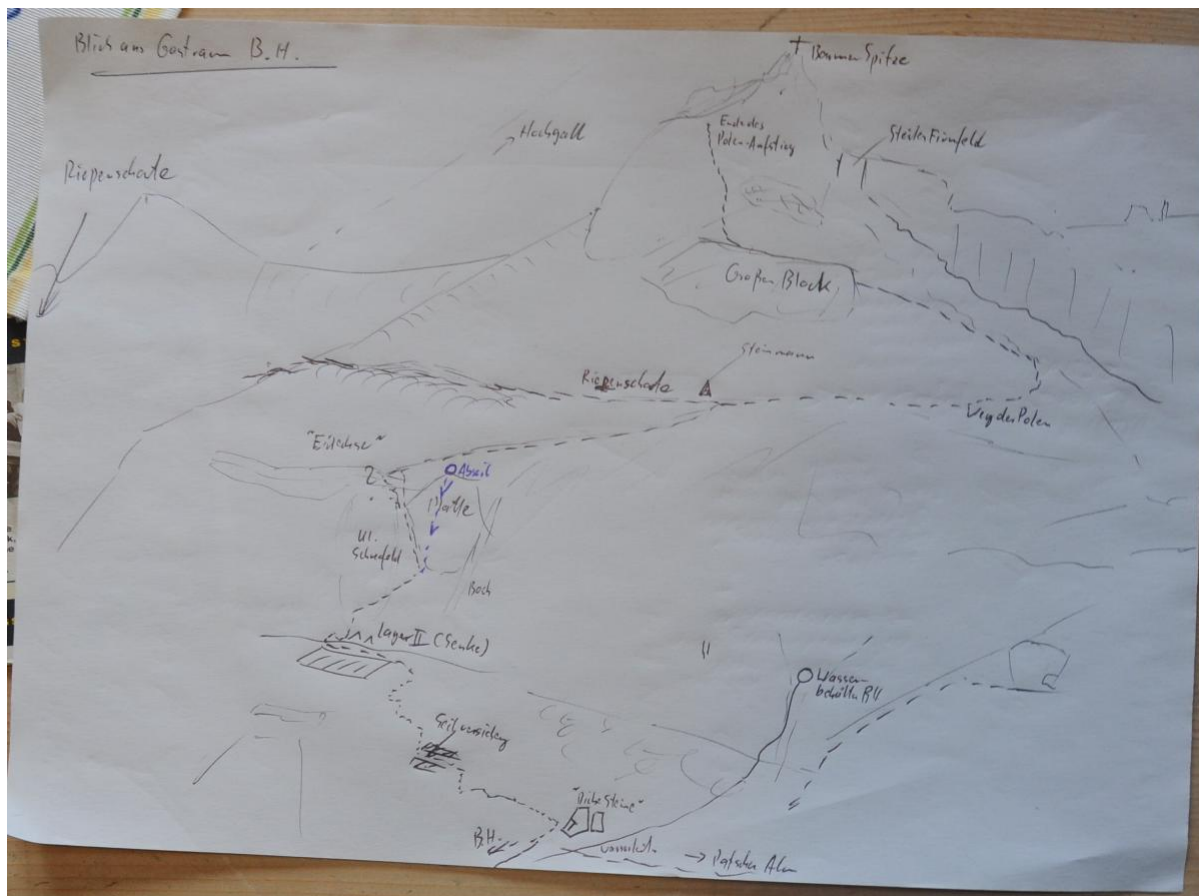
wygląda, jakby miała się poruszyć! Zarzucam pętlę, przeciągam linę przez mailona i zerkam w górę. Szczyt wydaje się być bardzo blisko... Ale mi na dziś wystarczy. Tym bardziej, że pod skałą wciąż czekają na mnie towarzysze. Gdy dojeżdżam do miejsca, gdzie się z nimi rozstałem Aga i Tomek zaczynają schodzić. Grzesiek czeka aż do niego dołączę. Kiedy zjeżdżam z ostatniego progu kończy mi się lina. Rozwiązuję węzeł łączący dwie końcówki i w momencie kiedy czubkami palców dotykam śladów na stoku lina wyjeżdża z przyrządu. Gdybym wcześniej zdecydował się na podejście choćby jeden metr wyżej teraz zabrakłoby mi liny do zjazdu.



Schodzimy do namiotów. Po drodze wykorzystujemy skalną ścianę do treningu i ćwiczymy zjazdy. Pogoda nas jednak nie rozpieszcza. Zmarznięci odpoczywamy w śpiworach. Wieczorem Aga rzuca pytanie: „Idziemy do schroniska na piwo?”. Hmmm... żaden z 3 facetów na to nie wpadł?



Siedząc przed schroniskiem (ku zdziwieniu obsługi) smakujemy trunek i podziwiamy widoki. Nie uważamy, żeby dzień był zmarnowany. Jutro wracamy, nic nie zdobyliśmy, ale najważniejsze jest doświadczenie. I rozważne decyzje! Kontemplacje przerywa pani ze schroniska. Otóż jeden z gości stawia nam ciasto i zaprasza do środka. Wchodzimy, witamy i dowiadujemy się... że nasze wyczyny za dnia były bacznie obserwowane. Ponieważ pogoda była paskudna i goście siedzieli w schronisku ich największą rozrywką było obserwowanie nas przez lornetkę. Mało tego – pan „od ciasta” naszkicował mapę opisującą nasze próby wejścia na Barmer Spitze i zatytułował „Weg der Polen”.



Dopełnieniem przyjemnej atmosfery były postawione przed nami kieliszki. To gospodarz schroniska poczęstował nas bimbrem, zwanym „Obster”. W doskonałych humorach wróciliśmy do namiotów.

Jeszcze przed południem następnego dnia byliśmy przy samochodzie. To był dobry weekend.

Testst: Dziku



fot. Jarosław Kruk



fot. Jarosław Kruk

Schrankogel – 3497 m n.p.m.



Coś mi nie pozwala skupić się na planowaniu górskich wypraw.

To coś miało być zajęciem sporadycznym, wynikającym z konieczności, tymczasem coraz częściej przyjmuje znamiona czegoś więcej. Kto wie, może nawet kolejnej pasji? W odróżnieniu od zdobywania Korony Europy ta pasja byłaby jedną z tych niezwykle popularnych w Polsce, chodzi mianowicie o... domowe REMONTY!

Ale spokojnie, dalej w tekście nie znajdziecie moich opinii o styropianie podłogowym, panelach, farbach i wkładach kominkowych. Postanowiłem się nie zatracać w nowej roli i nie poświęcać się nowemu zajęciu tak intensywnie i bezkompromisowo jak w przypadku Gór. Nie zmienię również adresu strony na dzikudomator.pl.

Dla pewności, żeby sprawdzić czy wciąż czuję „zew”, dałem się namówić kolegom z biura na październikowy wyjazd w Alpy. Tym bardziej, że w pamięci wciąż miałem piękne widoki z pierwszolistopadowego, zeszłorocznego wejścia na Piz Linard. Tak jest, przez rok nie wybraliśmy się w Alpy. Już to niech świadczy, że „coś się dzieje”. Wracając do tematu: postanowiliśmy zrobić

drugie podejście do Piz Berniny (4049 m), tym razem od włoskiej strony.



W rolach głównych: Krzyże, Kup...czyki

Role drugoplanowe: Dzik, Aga, Ola, Rafał, Łukasz

Scenariusz i reżyseria: Natura

Kiedy: październik 2014

Akcja początkowo rozwijała się standardowo: wyjście z pracy, przyjazd do domu, pakowanie, wyjazd z domu, zbieranie uczestników, wjazd na autostradę i przyjazd do Włoch.

I tu się trochę akcja załamała, bo na miejscu deszcz. I to taki wstręt, nie dający szans na wyjście. W poczuciu bezradności położyliśmy się spać. Ola na przednim siedzeniu w aucie. Ja z Agą z podkulonymi nogami w bagażniku, a chłopaki... pod kaplicą, z czego Rafał centralnie pod krzyżem.

I może to właśnie leżenie (pod) krzyżem pomogło, chociaż nietypowo, w śpiworze, bo popołudniu przestaje padać. Natychmiast ruszamy, chcemy dojść do schronu na 2813 m ale szybko się okazuje, że za dnia jest to niewykonalne. Mimo, że narzuciłem sobie mocne tempo, wraz z zapadnięciem zmroku stałem dopiero przy schronisku na wysokości 2662 m. Korzystając z resztek światła rozejrzałem się uważnie i

przywitałem podchodzącą ekipę 3-ma informacjami. 2 złe, 1 dobra. Otóż schronisko jest nieczynne, nie posiada również otwartego żadnego schronu czy choćby jakiegoś pomieszczenia. Informacja dobra: znalazłem zestaw „Zrób sobie własny schron”. I tak, nie zwlekając, zabraliśmy się za budowanie. Użyliśmy do tego celu: palet, pustaków, arkuszy blachy, desek, pręta, zatyczek do uszu oraz tropika od namiotu. I tak, mimo ulewnych deszczy, spędziliśmy bezpiecznie noc dzięki naszej willi rodem z brazylijskiej Faveli.



Rano wspinamy się na przełęcz nad schroniskiem, mijamy kapliczkę (krzyż) i podchodzimy wyżej, do w pełni komfortowego schronu na wysokości 2813 m. Jeszcze tego samego dnia poszliśmy w kierunku szczytu. Weszliśmy na lodowiec i błądząc w gęstej mgle, z wysokości ok. 3100m zawróciliśmy po własnych śladach. Kolejny dzień czekaliśmy w schronie na pogodę. Deszcz zamienił się w mokry śnieg, którego wokół schronu napadało co najmniej 10 cm. W takich momentach zawsze żałujemy, że nie zabraliśmy kart. A tym razem – Rafał wyjmuję talię! No i zaczęło się. Przebieg każdej gry taki sam. Wygrywa Aga a pozostali walczą o drugie miejsce. Wieczorem zasypiamy z nadzieją, że obudzi nas słońce.

Ranek nie pozostawia złudzeń. Gęsta mgła i mokry śnieg przykrywa wszystko, łącznie z przyschroniskową kapliczką (krzyż). Pakujemy manatki i schodzimy na dół. Wczesnym popołudniem staję przy aucie. Rozmawiam z parą Włochów. Chcą jutro wejść na szczyt Piz Bernina. Jednego dnia? Muszą być niezwykle mocni! Ale wkrótce poznaję jeden istotny szczegół ich planu. Jeszcze dziś ma ich wynajęty helikopter wysadzić w schronie na 3609m. Co faktycznie planowali i co zrobili, nie wiem. My rozłożyliśmy mapy i bez sprawdzania prognozy podejmujemy decyzję w ciemno: jedziemy do Austrii – w Alpy Sztubajskie.



Schrankogel

Wieczorem docieramy do miejscowości Gries. Zostawiamy auto i przed 22-gą, z namiotami na plecach docieramy do nieczynnego schroniska na 2135m. Tu okazuje się, że namioty dźwigaliśmy niepotrzebnie. Czekał na nas niezwykle przestronny, czysty, niemal pachnący nowością schron zimowy. Pozostały tylko pociorek, lulu i spać.

Koło 7 rano startujemy. Początkowo zboczem doliny, wygodną ścieżką. Na wysokości około 2600m skręcamy na północ i zaczynamy piąć się ostro w górę. Po dotarciu powyżej 2800m do

małego wypłaszczenia z wielkim kopcem kamieni kierujemy się ostro w górę po stromym, kamiennym stoku. Powyżej 3000m zaczyna się najciekawsza część wejścia – wspinaczka granią. Łatwa, bezpieczna, jednak dodająca smaku, szczególnie chłopakom, dla których jest to pierwszy 3-tysięcznik. Na szczycie mierzącym 3497 m – krzyż.



Celowo pomijam losy drugiej głównej bohaterki, którą była kupka. Bez wątpienia występowała ona najczęściej. W tematach rozmów, w zapowiedziach, w przechwałkach, w statystykach. Przemilczę temat dziesiątek nowych kopczyków na szlaku. Wspomnę jedynie o wyczynie Rafała, który postawił kupczyk na wysokości 3300 metrów oraz o odebraniu mu pierwszego miejsca przez Agę, która niewiele później rzutem na taśmę ułożyła kolejny kupczyk pod samym szczytem. No cóż poradzić, taki był to posrany wyjazd.

Ze szczytu mieliśmy zejść inną granią, jednak nie wyglądała ona zachęcająco. Po przymierzeniu się do niej i zrzuceniu kilku luźnych głazów w przepaść, postanowiliśmy schodzić drogą wejścia. Udało się nam to sprawnie i popołudniu bezpiecznie siedzieliśmy w schronie i graliśmy w karty.



Mutterberger Seespitze

Następnego ranka jeszcze raz podeszliśmy w górę z zamiarem wejścia na wierzchołek Mutterberger Seespitze (3302 m). Niestety atak nasz został odparty. Wspinaczka okazała się znacznie trudniejsza niż dnia poprzedniego. Luźne, duże skały spadały po lekkim trąceniu butem. Lodowiec też nie wyglądał zachęcająco. Stromy i pokryty litym lodem, w którym nie chciały się trzymać raki. Decydujemy się wracać do domu.

Zakończenie: wsiadamy do auta, nad ranem przyjeżdżamy do Polski, idziemy spać. Po paru godzinach pobudka i do pracy. Jakbyśmy dopiero co z biura wyszli. Już siedzimy wpatrzeni w monitory. Ale głowy przewietrzone, umysły świeże, a w nich zapisane kolejne miłe wspomnienia.

Teskst: Dziku



Symboliczna świeczka na

Linardzie

Skład:

Aga, Dziku i Ja.



Gdzie i kiedy:

Piz Linard 3410 m n.p.m – najwyższy szczyt masywu Silvretta w Alpach Retyckich (Rätische Alpen), w dniach 31.10-02.11.2013.

Tym razem był to spontaniczny wyjazd, do którego przygotowywałem się jakieś pół roku. Po pierwszej zimowej wycieczce z Dzikową ekipą zapragnąłem częściej odwiedzać góry. W tym celu, od około pół roku skrupulatnie kompletowałem sprzęt potrzebny do tego rodzaju wypoczynku i dwa tygodnie przed wyjazdem kupiłem swój pierwszy czekan. Nie obeszło się jednak, bez pożyczania kilku niezbędnych gadżetów. Dzięki wszystkim za pomoc (Aga, Dziku i pani Sandra).

3 dni przed wyjazdem dostaje maila:

– Na zdjęciu po lewej Linard widziany z Buin, pisziesz się?



Wyjazd nocą 30.10.2013

Czekałem na tą piramidkę całe lato... Kamień z serca spadł, nie zapomnieli o mnie. ☐

31.10.2013

Godzina 7:00 parkujemy samochód przed sklepem/informacją turystyczną w Lavin 1430 m n.p.m i czekamy na otwarcie, aby kupić mapę i podpytać o możliwe miejsca parkingowe.

Po mapę w cenie 14 franków warto było jechać te 1100km.

Do tego krótki briefing pani z za lady:

- parkować możecie gdzie chcecie, najlepiej w centrum „miasta”, albo za mostkiem kolejki, zaraz przy wyjściu na szlak,
- czy wiecie, że tam na górze jest śnieg?

Zaparkowaliśmy w centrum i zgodnie z tabliczką informacyjną potuptaliśmy w kierunku Chamanna dał Linnard.

Do schroniska prowadzi dobrze oznaczona ścieżka przez las,

podczas której bardzo szybko i przyjemnie zdobywa się wysokość.



Przecina ona kilka razy utwardzoną drogę, w zimie służącą jako trasa zjazdowa dla narciarzy. Mniej więcej w połowie trasy do schroniska na „Plan da Bügl ok. 1950 m n.p.m mijamy bajkową chatkę, niestety zamkniętą. W lecie podobno do tego miejsca można dojechać busem-taksówką. Mimo wyładowanych plecaków idzie się naprawdę przyjemnie. Chwilę po wyjściu z lasu zobaczyłem jeden z najpiękniejszych widoków na tej wyprawie:



W tle cel dzisiejszego dnia Chamanna dal Linnard 2327 m n.p.m i podnóże Piz Linard.

W schronisku byliśmy po około 3,5 godzinach marszu. Tzn. Dziku i Aga byli.

Mi zeszło troszkę więcej, bo dalej dogadywałem się z moimi kijkami, albo nogami i rękoma. Niby to takie proste...

Schronisko jest klasą samą dla siebie. Wyposażenie i stan zaopatrzenia można rozpatrywać w kategorii luksusu. Pełen asortyment po kufle do piwa i kieliszki do wina. Naturalnie za wszystko płacimy przelewem, jak to w Szwajcarii, druczki czekają zaraz obok butelek z piwem i colą.

Po rozgoszczeniu się i przepakowaniu wybraliśmy się na krótki rekonesans. Droga pod szczyt jest godzinną przechadzką wzdłuż strumyka i małych zamarzniętych jezior. Niestety chmury zasłaniające szczyt za nic nie chcą się rozrzedzić.



Podczas godzinnej eksploracji piargów, ani na chwile nie udało nam się zobaczyć wierzchołka Linarda. Wracamy z nadzieją, że jutro będzie bezchmurnie. Przy zejściu zostaliśmy nagrodzeni za oczekiwanie. Przebijające się promienie słoneczne zapowiadały poprawę pogody.



01.11.2013

O 7:00 wychodzimy ze schroniska, dzień zgodnie z prognozą bezchmurny i bezwietrzny. Temperatura -1°C , jak na listopadowy poranek ciepło. Wypoczęci i zmotywowani, wczorajszy zapoznawczy odcinek pokonaliśmy 15 minut szybciej i już po 80 minutach zakładaliśmy raki przy wejściu do żlebu. Droga na szczyt oczywista, kuluarem jak długo się da i dalej po grani.



Nachylenie ok. 35° - 45° , z każdego żlebu już dawno wyjechał nadprogramowy śnieg i nie ma zagrożenia lawinowego, trzeba

uważać na kamienie lecące na głowę i te luźno zamocowane. Przy dźwięku spadających w oddali lawin i słończku ogrzewającym nasze plecy bezproblemowo dochodzimy do grani.



Zajęło mi to, godzinę i czterdzieści minut. Dziku i Aga byli szybciej i tym razem mojego opóźnienia nie mogłem zważyć na złą współpracę z kijkami. Cóż pewnie tej dwójce zostało troszkę z aklimatyzacji w Pamirze ;).



Dalej kawałek grani i o godzinie 11:00 stajemy na szczycie. Jest chłodniej niż w osłoniętym kuluarze, ale widoki rekompensują wszystko.



Zapałam świeczkę, mamy przecież Wszystkich Świętych.



Do gipfelbucha wpisuje się z trudem, bo podczas zabawy ze „zniczem” zapomniałem o rękawicach.

Batoniki w kieszeni zamorzyły, ale bakalie i picie z termosu jak zawsze na miejscu, przy tym podziwianie widoków, taki obiad mógłbym jeść codziennie.

Mimo rozmokniętego śniegu i mojej niezdarności, na zejście

potrzebujemy dwóch godzin.

W schronisku jesteśmy o 13:30 i zostaje nam dużo czasu na świętowanie sukcesu i planowanie nowej wyprawy, a było co świętować.

Przy pomocy Dzika i Agi udało mi się wykonać plan minimum „być na grani” i spełniło się moje małe marzenie mianowicie: zdobyć swój pierwszy szczyt. Jupiii!!! Tego dnia nauczyłem się też buchtować linę.



Grzane piwo zwycięstwa piliśmy z metalowych kubków. Przy kolejnym grzaniem, robimy przeszukanie kuchni i po odnalezieniu całej szafki z czystym szkłem, dalej po spartańsku pijemy browara z naszych małych kubeczków.

02.11.2013

Ten dzień według prognoz miał być tylko zachmurzony i początkowo był. Przyniósł mi on kolejne doświadczenie górskie, mianowicie pierwszy zjazd na linie.



Niestety mgła i śnieg zmusiły nas do powrotu. Szybkie pakowanie i ucieczka do Lavin.

Dziku i Aga jeszcze tego dnia dojechali szczęśliwie do Polski.



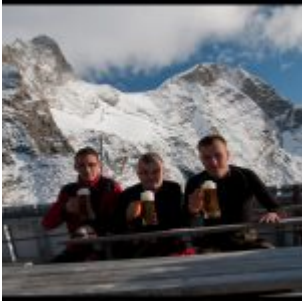
A mi zostały wspomnienia.

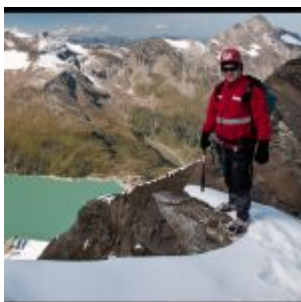
tekst: **Dawid Paszczyński**

Zimowy trening









MONTE ROSA – Zimowy trening

Gdzie – Monte Rosa (>4000 m n.p.m.)

Kiedy – luty 2013

Kto – Dziku & Paweł & Aga & Tomek

Kluczem miała być pogoda. I tuż przed wyjazdem Paweł fachowo zinterpretował prognozy:

„Pogoda nie wygląda źle, a na weekend się klaruje. To -30 da nam w dupę ale przynajmniej komarów nie będzie.”

I tak po raz kolejny przyjechaliśmy do Zermatt. Lecz po raz pierwszy zimą. I muszę przyznać, że to miasto i jego okolica wyglądają o tej porze wyjątkowo ładnie. Mając przed sobą nie przysłoniętą najmniejszą chmurką sylwetkę Matterhorna ruszyliśmy stokami narciarskimi pod górę. Tym razem nie mamy na celu konkretnego szczytu. Przyjechaliśmy przetestować siebie i sprzęt w zimowych, górskich warunkach przed naszą planowaną wyprawą na 7-tysięczny szczyt w Pamirze. Warunki do treningu trafiliśmy dobre. W tych dniach było bardzo mroźno. W okolicy 4000-cy metrów temperatura wahała się w okolicach -30 stopni. Jednocześnie dobra pogoda pozwoliła nam na szybkie zdobycie wysokości. Już pierwszego popołudnia po przyjeździe docieramy z dwudziesto-paro kilogramowymi plecakami na plecach na wysokość 2430 m. Po spędzeniu pierwszej zimnej nocy na lodowatej podłodze opuszczonego budynku kolejki, rankiem na drugi dzień ruszyliśmy w dalszą drogę. Po około 10h marszu dotarliśmy na plateau pod Breithornem (4164 m n.p.m.). Tu, na lodowcu i wysokości ok. 3750 m rozbiliśmy namioty. Tej nocy było jeszcze zimniej niż poprzedniej. Po zmroku na naszym termometrze szybko skończyła się skala. Temperatura spadła poniżej -30 stopni. Jeszcze tego wieczoru udało mi się coś przełknąć. W kolejnych dniach choroba wysokościowa pozbawi mnie niemal całkowicie apetytu. Po powrocie, na podstawie tych doświadczeń można wywnioskować, że na kilkudniowy wypad na 4-tysięcznik wystarczy zabrać 4 kisiele i herbatniki. Z takimi wnioskami na pewno nie zgodziłaby się Aga, która bez względu na wysokość i temperatury spożywała posiłki jakby nigdy nic.

Już następnego dnia stanęliśmy na szczycie Breithorna (4164 m n.p.m.). Aga, która w tych dniach wykazywała niezwykłą kondycję i siłę fizyczną stanęła na szczycie jako pierwsza. Potem na wierzchołku stawali kolejno pozostali członkowie

ekipy. Na końcu człapał Paweł, który jako jedyny był tu na nartach skitoruowych i miał z nimi trochę problemów technicznych. Jednak swoje postanowienie spełnił i po raz pierwszy w swoim życiu zjechał z 4-tysięcznego szczytu. Wymagało to sporo odwagi. Stok miał bardzo duże nastromienie, w dodatku gdzieś tam pojawiały się głębokie szczeliny. Po dotarciu do namiotów i odpoczynku spakowaliśmy się i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przed zmrokiem chcieliśmy dotrzeć do schronu koło przełęczy Schwarztor (3734 m n.p.m.).

Jednak już po zejściu z plateau i wejściu w górną część lodowca Verra poczuliśmy kryzys. Szybko oddałem prowadzenie, ponieważ podczas torowania opadłem z sił. Następny odpadł Tomek. A Aga... w tych dniach przebijała nas wszystkich. Ruszyła jako pierwsza i torowała w śniegu aż do zapadnięcia niemal całkowitych ciemności. Pawła już wtedy z nami nie było. On na nartach zapadał się najmniej i znacznie nas wyprzedził. I w ten sposób po zmroku zostaliśmy we trójkę z malutkim – dwuosobowym – szturmowym namiotem. Wykopaliśmy platformę i ściśnięci jak sardynki położyliśmy się w śpiworach. Byliśmy potwornie wychłodzeni. Dygotaliśmy przede wszystkim z powodu wyjątkowo niskich temperatur, ale również z powodu zmęczenia po wysiłkach tego dnia. Mieliśmy nadzieję, że Paweł dotarł do schronu i tam spędzi noc. Jednak niecałą godzinę później usłyszeliśmy jego wesoły głos. Okazało się, że schronu nie znalazł. Brnął w coraz trudniejszym terenie, aż w kopnym, metrowej głębokości śniegu odpięła mu się narta. Ledwo się wygrzebał i postanowił do nas wrócić. Najmniej szczęśliwy z takiego obrotu sprawy był Tomek. Nie zdążył się ani trochę rozgrzać a już musiał wyjść i od nowa kopać platformę i rozstawiać kolejny namiot. Ależ mi go wtedy żal było. Ale moje ciało było już wtedy wraz ze śpiworem wkomponowane w nierówności śnieżnego zbocza i przez następne 12h nie poruszyło się ani o centymetr. Następnego dnia usłyszemy od Tomka zdanie, które utkwi mi w pamięci: „Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę”.

Rano przeanalizowaliśmy sytuację i postanowiliśmy dotrzeć na przełęcz i do schronu dolnym lodowcem Verra. Wróciliśmy po naszych śladach do początku drogi i zaczęliśmy trawersować stromy stok w kierunku przełęczy pod szczytem Polluxa. Ten odcinek nie jest wcale długi, zaledwie paręset metrów. Ale widząc poniżej nas szczeliny w lodowcu nie mogłem pozbyć się myśli – co będzie jeśli spadnie śnieg? Obsunięcie się z lawiną po tym stoku nie dawało prawie żadnych szans. Musiało się skończyć w jednej z głębokich szczelin. Ale dziś – przy pięknej pogodzie – szliśmy bez problemów po zmrożonym i świetnie trzymającym śniegu. Kiedy dotarliśmy do przełęczy wyjaśniła się sprawa schronu. Okazało się, że znajduje się on wysoko na skałach. Od góry zasłonięty i niewidoczny, dlatego Paweł poprzedniego wieczoru go nie znalazł. A prawdopodobnie dotarł bardzo blisko budynku! A od dołu, choć schron dobrze widoczny, wydawał się również poza naszym zasięgiem. Stwierdziliśmy, że nie ma co się mordować i skoro mamy namioty to rozbijemy je tu na przełęczy. Na następny ranek zaplanowaliśmy uderzenie na Polluxa i Castora. No dobrze, ale jest popołudnie i jeszcze parę godzin słońca. Aga, która energia wręcz rozpierała, po obiedzie usilnie namawiała nas, by wejść na pobliski szczyt – Roccia Nerę (4075 m n.p.m.). Przez pół godziny nikt nie dawał się namówić, aż wreszcie skapitulował Tomek. Razem zdobyli kolejny 4-tysięczny szczyt. Szczyt nie był tak prosty, jak się to wydawało z dołu. Do pokonania był stromy, zaśnieżony stok z wyjątkowo głębokim śniegiem w części podszczytowej. Końcowe metry Aga i Tomek pokonywali na czworakach. Po mniej niż 2,5 godzinie wrócili. Ich dobre humory wzbudziły w Pawle pokłady ambicji i mimo zbliżającego się zmierzchu Paweł ruszył po ich śladach samemu na szczyt. Wrócił już w całkowitych ciemnościach i – niestety – przy zachmurzonym niebie. Tuż przed jego powrotem zaczął sypać śnieg.

I nie przestał aż do następnego ranka. W nocy wstawałem by odkopać namiot. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Podnosząca się temperatura i gęste opady wzbudziły we mnie

najgorsze przeczucia. Śniegu przez noc spadło co najmniej 20 cm. Jednak z powodu silnego wiatru nie była to równa powłoka, lecz dochodzące gdzieś do metrowej wysokości zaspy. Rano jednogłośnie podjęliśmy decyzję o odwrocie. Po spakowaniu się ruszyliśmy w kierunku stoku prowadzącego na względnie bezpieczne plateau pod Breithornem. Niestety już po 100 metrach przy tak słabej widoczności straciliśmy orientację. Teraz przyszedł czas na plan B. Nasze oczy skierowały się w kierunku stromej i wysokiej skały z budynkiem schronu. Tam będziemy mogli przeczekać najgorszą pogodę. Mamy przecież jedzenia i paliwa na następne kilka dni. Jednak schron, który z założenia powinien służyć otworem właśnie w przypadku trudnych warunków, położony był w miejscu tak trudno dostępnym! Mój atak został odparty jako pierwszy. Brnąc pod górę w nawianym, zupełnie niezwiązanym śniegu dotarłem do skał na stromym zboczu. Tu droga, którą oceniałem jako względnie mało ryzykowną się skończyła. Pewnie gdyby nie grudniowa przygoda z lawiną parłbym ostro do przodu. Teraz jednak, stojąc na wysepce skalnej oznajmiłem, że się dalej nie ruszę. Na sąsiadującej, podobnej wysepce stała Aga i wyła z powodu bólu w palcach stopy. Choć ciężki do zniesienia, ból ten daje w pewnym sensie uczucie ulgi. To znak, że we wstępnej fazie odmrożenia wraca krążenie. Najbliżej celu był Tomek. Przywiązał do siebie koniec liny i ruszył pod górę szukając punktu do założenia stanowiska. Dotarł już do ostatniej grupy skalnej przed schronem. Niestety, nigdzie nie dało się założyć punktu do asekuracji. Obsunięcie się z tego śnieżnego pola to upadek wraz z masą śniegu ze stromego urwiska. Zresztą, prawdopodobnie zgarniając po drodze mnie i Agę, ponieważ znajdowaliśmy się poniżej. Najbardziej rozsądny w tym momencie wydawał się pomysł Pawła, aby wspiąć się do schronu po skale i stalowych linach. Oczywiście możliwe było to tylko na lekko. Ale pozwoliłoby założyć asekurację dla kolejnych osób transportujących plecaki. Dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej? Ponieważ częściowo zasypane i przymarzniete do skał liny zobaczyliśmy dopiero z góry. Pomysł również był ryzykowny, a o jego skuteczności nie było nam dane się

przekonać. Nagle zamieć śnieżna się skończyła, niebo stało się błękitne i zaświeciło słońce.

Teraz, bez problemu z orientacją wróciliśmy na stok i ruszyliśmy w drogę powrotną. Okazało się, że moje obawy o warunki po opadach w tym miejscu były nieuzasadnione. Stok był przewiany i zamrożony. Jednak co jeśli opadów będzie więcej? Mając to na uwadze nikt się nie wahał czy należy wracać. Przechodzimy stok i wdrapujemy się na plateau. Idę zgarbiony pod plecakiem, chroniąc twarz przed wiejącym 50km/h lodowatym wiatrem. Przed siebie popatrzyłem dopiero, gdy usłyszałem krzyk. Pod Agą, która szła jako druga załamała się cienka warstwa zmrożonego śniegu i otworzyła się szczelina. Dzięki dużemu plecakowi i rozłożonym rękoma zatrzymała się na powierzchni. Wydostała się o własnych siłach, przeskoczyła rozpadlinę i mimo stresu była gotowa do dalszej drogi. Idąc jako ostatni mogłem się przyjrzeć i przekonać, jak groźna to była szczelina. Nie sposób było dojrzeć jej dna.

Po dotarciu do górnej stacji kolejki na Klein Matterhorn stwierdzamy, że trening można zakończyć. Te kilka dni pozwoliły nam już wyciągnąć wnioski dotyczące naszego przygotowania i posiadanego sprzętu.

Z wysokości 3820 m n.p.m. Paweł zjeżdża na nartach a reszta ekipy schodzi pieszo do samego miasta.

Dokładnie rok temu o tej samej porze dotarliśmy do schronu Vallot by następnego dnia dokonać zimowego wejścia na Mont Blanc. Tym razem postawiliśmy na przeżycie kilku lodowych biwaków na wysokości niemal 4 tys. metrów. Co wymyślimy za rok?

Ale póki co wjeżdżamy do Wrocławia. Po kilkunastu godzinach sennej jazdy autostradami zaczęły się szybkie ruchy kierownicą i slalom między głębokimi dziurami w jezdni. Z tylnego siedzenia słyszę głos Tomka:

„Tu jest groźniej niż na lodowcu...”

– END –
Dziku

„Wrong people on the wrong mountain”

Cel – Matterhorn (4478 m n.p.m.) – z wynikiem 3:2 dla Mata

Kiedy – sierpień 2012

Kto – Dziku & Paweł & Aga & Tomek & Bocian

MATTERHORN – „Wrong people on the wrong mountain”?

Prawdopodobnie najświetniejszy w Szwajcarii, najczęściej obfotografowany, 7 wśród najbardziej śmiertelnych, fascynuje i przytłacza swoim ogromem..

MATTERHORN... MATT...

Paweł już od ponad 2 lat miał „obsesję” na punkcie tej góry. Uznaliśmy, że warto się z nią zmierzyć, mimo, że sama myśl o niej wywoływała niepokojące dreszcze.

Wyjechaliśmy z Wrocławia 14 sierpnia wieczorem w składzie: Ja (Aga), Paweł, Dzik, Tomek oraz Bocian- nasz nowy nabytek drużynowy, polecony przez Pawła. Gdy wkońcu dotarliśmy do Zermatt karawanę zaczęliśmy dopiero popołudniu. 5 wielbłądów, każdy 18- 25kg na grzbiecie szły ku swojej wymarzonej, skalnej piramidzie w upale przekraczającym 30st. Po 5h marszu zdecydowały się na nocleg. Miejsce biwakowe nie było przypadkowe: w promieniu 200m wszędzie leżały rolki papieru toaletowego. W ten sposób Matt chciał nam wyraźnie zasugerować, że będziemy mieć przesrane...

Następnego dnia doszliśmy do schroniska, rozbiliśmy obóz i popołudniu zrobiliśmy mały rekonesans, by sprawdzić co nas tak naprawdę czeka. Paweł ujął to tak: „W Macie trzeba się najpierw zakochać, potem wystraszyć, a na końcu go zdobyć”. Pierwsze 2 punkty zaliczone.

Pobudka o 3.30, wejście w ścianę o 4 i

wszystko jest ekscytująco piękne do momentu, gdy na trasę wychodzą P R Z E W O D N I C Y Z K L I E N T A M I. Nie tylko ludzie osiągają w górach szczyty – chamstwo i komercha również. Będąc „w trudnościach” byliśmy przepychani przez 30 usiłujących nas wyminąć 'górskich guru'. „Wrong people on wrong mountain” – słowa jednego z nich stały się tytułem naszego nowego albumu The Alpinists □



O 7.30 meldujemy się przy schronie Solvay (musicie zobaczyć tamtejszą toaletę – skorzystanie z niej to kolejne wyzwanie Matterhorna). Batonik i dalsze napieranie – „samo się nie wejdzie”. Po 3 godzinach i wciągnięciu się po 80m linie na rękach opadłam z sił. Dzik i Bocian również są już zmęczeni a wszystkich nas dręczy pytanie: „Jak my, do cholery, stąd zejdziemy?!”. Nasza trójka decyduje się na odwrót, Paweł i Tomek idą dalej na szczyt.

Ledwo zaczęliśmy schodzić, gdy zsuwając się po linie Bocian upada i krzyczy, że „coś mu poszło w kolanie”. Robi się coraz mniej sympatycznie. Ciągłe, wielogodzinne napięcie psychiczne męczy może nawet bardziej niż fizyczne trudności. Za 20 minut sytuacja się powtarza i nasz Bociek nie może już wogóle iść. Dlatego poleciał...

Akcja z helikopterem przebiegła bardzo sprawnie i już po 20 minutach od wezwania

pomocy Bocian szybował w stronę Zermatt. Ja i Dzik kontynuujemy zejście przez następne 8 godzin. Mogę śmiało powiedzieć, że z połowy Matta zjechałam na tyłku – po prostu siadałam i zsuwałam się ze skał, ponieważ nie miałam już sił na eleganckie schodzenie.

No i zgubiliśmy drogę... W ramach rekompensaty za niezdobyty wierzchołek zrobiliśmy kawałek wschodniej ściany z paroma ciekawymi zjazdami na linie.

Po 20 jesteśmy w namiotach, niedługo po nas przychodzą Paweł i Tomek, którzy oczywiście weszli na szczyt (Gratulacje Chłopaki!). Z Bocianem i jego naderwanymi więzadłami kolanowymi spotkamy się następnego dnia w Zermatt.

WYNIK 3 : 2 DLA MATTERHORNA. BĘDZIE REWANŻ!

W lepszym stylu i lepszym czasie, najpierw jednak musimy trochę jeszcze potrenować... □

A i tak pękam z dumy jak sobie pomyślę,
że prawie weszłam na TAKĄ GÓRĘ! ☐

INFORMACJE PRAKTYCZNE

- dojazd

- czas: ok 14h
- winieta szwajcarska – są tylko roczne – koszt 40CHF
- jeśli nie chcemy kłopotać się z tunelem po drodze warto kierować się na miejscowość Martigny a potem dopiero na Tash, nie nadrabia się dużo kilometrów, a jest wygodniej i taniej
- dojechać można tylko do Tash, tam trzeba zostawić samochód na parkingu i do Zermatt dojechać taxi lub pociągiem (polecamy parking w Taxi Freddy – 7CHF/ auto/ dobę, potem transport taxi Freddy z Tash do Zermatt 6CHF/os.)

- noclegi

- w Tash, za stacją kolejową jest po prawej stronie camping z zapleczem sanitarnym i polecamy wziąć prysznic po

wyprawie! 4CHF/prysznic/os. Można tam też zostawić auto, ale jest drożej niż u Freddy'ego – 8CHF,

– w Zermatt dla osób z grubymi portfelami nie będzie z noclegiem problemu, jest tam też camping z zapleczem sanitarnym, ale drożej niż w Tash,

– w schronisku Hörnlihutte,

– to co polecamy: we własnym przytulnym namiocie – swojsko i tanio, tylko trochę plecy bołą, poniżej schroniska, przy drodze na Matta są kamienne platformy pod namioty (w liczbie ok. 10-ciu) ,

! UWAGA: podczas szczytu sezonu mogą wszystkie być zajęte i trzeba sobie wtedy wybudować własną !

- woda

Teoretycznie jest to problem w drodze na Matterhorn. Po drodze do Hörnlihutte mijamy strumień (nad ostatnią restauracją) – warto nabrać tyle wody ile damy radę unieść, ponieważ na górze zostaje tylko topienie brudnego śniegu

(nie ma go tam za wiele) lub zakup wody w schronisku 4CHF/litr wrzątku, 8CHF za butelkę 1,5l. Ale czy na pewno nie ma innego sposobu? O tym poniżej.

My znaleźliśmy następujący sposób:

Niedaleko wejścia w ścianę ubezpieczonego linami, za schroniskiem jakieś 300m, po prawej stronie znajduje się biały zbiornik, gromadzący wodę pompowaną do schroniska. Zbiornik napełnia się za pomocą rury poprowadzonej z kałuży powstałej z topniejącego śniegu. Nie pytaliśmy w schronisku, czy jest to dozwolone. Nie gwarantujemy również, czy w przypadku mrozu lub długich upałów kałuża również powstaje.

! UWAGA: W SCHRONISKU NIE MA BIEŻĄCEJ WODY !

- trasa
- Zermatt – Hörnlihutte z plecakami ok. 6h
- Hörnlihutte – Solvay ok. 3,5h

– Solvay – szczyt ok. 4h

powrót: ze szczytu do Hornlihutte- trzeba liczyć tyle ile zajęło nam wejście

RAZEM: ok. 15 – 17h

– Hörnlihutte – Zermatt ok. 4h

Trasa jest trudna i wymagająca fizycznie i psychicznie (patrz wyżej). Najlepiej wyjść ze schroniska ok. 4 rano i iść za przewodnikami (jeśli dacie radę utrzymać ich tempo) ponieważ łatwo jest zgubić drogę, zwłaszcza po ciemku. Odcinek trasy do schronu Solvay jest łatwiejszy niż ten za schronem, dlatego warto urwać na nim jak najwięcej czasu (w Solvay'u trzeba być do godz. 10, jeśli chcemy wejść i zejść przed zmrokiem).

! UWAGA: trudne miejsca:

1. dolna i górna płyta Mosley'a czyli odcinek przed i zaraz za schronem. Ten przed jest ubezpieczony liną pionową ok 10m i 3m trawers, ale i tak było mi trudno.

2. przed wierzchołkiem znajduje się 80m gruba lina, po której trzeba się wciągnąć

siłowo na górę. dalej jest jeszcze parę takich lin, dlatego trzeba mieć bardzo silne łapy i duuużo cierpliwości – kolejki...

! UWAGA: ZDECYDOWANIE ODRADZAMY WEJSCIE PRZY ZŁEJ POGODZIE, NO CHYBA ŻE JESTEŚ MISTRZEM WE WSPINANIU PO OŚLIZŁYCH PŁYTACH SKALNYCH LUB SAMOBÓJCĄ !

tekst – Aga

Zimowe wejście na Mont Blanc

**Cel – Mont Blanc (4810 m n.p.m.) –
zdobyty (2:1 dla nas)**

Kiedy – luty 2012

Kto – Dziku & Paweł & Aga



The Alpinists presents...

„Ludzie, którzy tracą czas czekając, aż zaistnieją najbardziej sprzyjające warunki, nigdy nic nie dziaają. Najlepszy czas na działanie jest teraz!”

Mark Fisher

Wybór celu na nasz pierwszy zimowy wypad w Alpy trudny nie był. Miało być wysoko, miało być zimno, miało być ciężko i miała być zabawa. Gdzie tego szukać jeśli nie na Mont Blanc? Góra oferowała pewne poczucie bezpieczeństwa, ponieważ obaj z Pawłem zdążyliśmy ją już wcześniej poznać. Aga nie miała jeszcze okazji być

na szczycie, więc tym bardziej motywacji jej nie brakowało.

Start nie był łatwy. Chociaż z Polski wyjeżdżamy w sobotę rano to do Les Houches docieramy dopiero w niedzielę przed południem. Zaczęło się od popsutej ładowarki do nawigacji. Już w trasie montowaliśmy z 3 ładowarek jedną działającą. Potem pękł kabel od spryskiwaczy, ale Paweł z pomocą scyzoryka usterkę naprawił. Scyzoryk wkrótce przepadł ponieważ został na dachu i spadł w trasie. Zaraz potem Paweł uświadomił sobie, że zabrał ze sobą klucze od remizy strażackiej. Ale co tam, i tak szczytem było wjechanie w XIV wieczny, kamienny krzyż pokutny. Na szczęście ksiądz był wyrozumiały i klątwy na nas nie rzucił. Obiecaliśmy, że krzyż zostanie naprawiony po powrocie i ze stłuczoną lampą i poobijaną klapą ruszyliśmy w trasę o długości ponad 1200 km. Do Chamonix!

Startujemy o 12-tej wraz z narciarzami ze stacji kolejki w Les Houches koło Chamonix. Pracowniczka stacji patrzy na nasze plecaki z przerażeniem i gestykuluje „MONT BLANC – NO! NO IN WINTER! TWO PEOPLE DIED!”. Odpowiadamy jedynie pogodną miną. Wiemy o Rosjanach, którzy zginęli próbując przebyć tę trasę przed 1,5 miesiąca. Mamy też informacje od miejscowych służb, że przed nami nikt jeszcze tej zimy zaplanowanej przez nas trasy nie przeszedł. Mimo tych informacji czujemy się na siłach, by podjąć się wyzwania. 20 minut później ruszamy pieszo z górnej stacji kolejki (1790 m). Od tego momentu przez kilka godzin trawersujemy w głębokim śniegu stromy stok. Wokół nas gęsta mgła. Gdzieś pod nami pod śniegiem prowadzą tory kolejki zębatej. We mgle mijamy słupy trakcji, będące jedynym punktem orientacyjnym. Nie mamy jednak wątpliwości co do jednego – po naszej prawej stronie ziele pustka. Obsunięcie się ze śniegiem skutkuje zatrzymaniem

się setki metrów niżej. Latem jechalibyśmy wtedy wygodnie i oglądalibyśmy widoki przez szybę pociągu. Teraz śniegu jest tak dużo, że możemy trzymać ręką kabel trakcji. A czasem nawet i on ginie pod śniegiem. Co jakiś czas zakładamy dźwigane przez nas rakiety śnieżne. Jednak trawers jest tak stromy, że rakiety wykręcają nam kostki i zdecydowanie większą część drogi niesiemy je na plecach.



trawers



Aga poręcza



Platforma pod namiot

Dla tych co znajdą się tam w podobnych

warunkach i równie słabej widoczności – słupy trakcji są ponumerowane. Im wyżej tym numer wyższy. Przy słupie nr 447 znajdują budynki pośredniej stacji kolejki (2077 m), zaś w pobliżu słupa 496 należy się spodziewać wejścia do tunelu. My tego nie wiedzieliśmy i...

Kiedy zaczął zapadać zmrok dotarliśmy do najtrudniejszego terenu. Z prawej strony 700 metrowa przepaść. Z lewej pionowe skały. Wykopujemy łopatą platformę i rozkładamy na niej namiot. Aga w tym czasie robi jeszcze zwiad i poręcza odcinek, który czeka nas jutro. Po 40 metrach dochodzi do skał i zapada się obiema nogami w głęboki śnieg. Wiemy, że gdzieś tu jest gwarantujący bezpieczne przejście tunel ale nie wiemy dokładnie gdzie. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że Aga kiedy się zapadła była już obiema nogami w tunelu kolejki! Ale póki co – warto napomknąć o tej nocy spędzonej na krawędzi przepaści. Ciekawym doświadczeniem było np. robienie kupki na

wąskiej wydeptanej przez nas ścieżce. Wystarczyło potem lekkie jej trącenie i leciała ona gdzieś daleko w ciemność.

Rano kontynuując nasze samobójcze zapędy i będąc nieświadomi bliskości wejścia do tunelu decydujemy się go ominąć jego zewnętrzną ścianą. Teraz widzę to tak, że od 2-giej strony tunelu dzieliły nas 2 godziny strachu. Aga prowadząc zakładała przeloty, lecz skała i teren był tak nieprzyjazny, że asekuracja była bardzo niepewna. My dźwigaliśmy na plecach olbrzymie plecaki, z których dodatkowo sterczały przeklinane przez nas rakiety. Obsunięcie się któregoś z nas mogłoby być tragiczne dla wszystkich. Udaje się nam jednak dotrzeć do wylotu tunelu. W parę minut przechodzimy nim z powrotem i widzimy skąpe światło. To pewnie jest ten otwór, który wczoraj zrobiła nogami Aga. Dlaczego nie zdecydowaliśmy się pokopać w tym miejscu i odszukać wejścia?! Teraz już za późno na dywagacje, przynajmniej wiemy, że wrócimy przez bezpieczny tunel

a nie tą zewnętrzną ścianą dla samobójców.



trawers tunelu



trawers tunelu

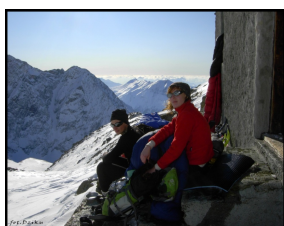


trasa poza tunelem z zaznaczonym czerwoną kropką miejscem z platformą pod namiot
Pójdźmy jednak dalej, przed nami kolejny – tym razem całkowicie zasypany tunel. Omijamy go trasą biegnącą przez żleb, skałki oraz stalowe schodki i stajemy na stacji Le Nid D'Aigle (2372 m). Tutaj biwak z jedzonkiem na ciepło i idziemy do schronu Forestiere (2768 m). Rozpatrujemy spędzenie w nim nocy. Jednak pewien fakt

nie daje nam spokoju i nieco psuje humory. Okazuje się, że nie zabraliśmy jednego kartusza z gazem. Ilość paliwa, które mamy ze sobą nie przekreśla szans na zdobycie szczytu jednak powoduje pewną presję czasu. Pakujemy rzeczy z powrotem do plecaków i idziemy dalej – do Tete Rousse (3167 m). Dochodzimy do nieczynnego o tej porze roku schroniska już w zupełnych ciemnościach. W środku jest bardzo zimno, przypuszczam, że mniej niż -10 stopni. Topienie śniegu zajmuje dużo czasu, ale wreszcie udaje nam się czegoś napić i coś zjeść i padamy wymęczeni na łóżka.



biwak przy Le Nid D'Aigle



biwak przy Forestiere



w drodze do Tete Rousse

Wstajemy jeszcze o zmroku. Znów parogodzinna operacja topienia śniegu, zalewania termosów i ruszamy dalej. Jest łatwiej – bo dzień wcześniej zostawiliśmy nadmiar jedzenia, namiot oraz rakiety w Forestiere. Jednak w tym wszechogarniającym mrozie nasze organizmy szybciej słabną. Po 4 godzinach wspinaczki w zacienionym kułuarze wychodzimy przy starym schronisku Gouter (3817 m). Okazuje się, że mam odmrożone wszystkie palce u stóp. Przez następne pół godziny rozcieramy mi stopy. 10 białych, twardych i nieczułych na dotyk paliczków powoli wraca do życia. Jednak krążenie wróci do nich dopiero po 2 dniach. A czucie w pełni odzyskam dopiero po paru tygodniach. Na dodatek wejście do zimowego schronu jest zasypane i nie jesteśmy w stanie się do niego dostać. Na

szczęście jest piękna, bezwietrzna pogoda. Mimo mrozu siedzimy na karimatach, gotujemy a nawet... zapadamy w drzemkę. Po przebudzeniu postanawiamy iść dalej. Przed nami kilka godzin światła dziennego więc powinno się udać dotrzeć do schronu Vallot. Schron ten znajduje się na wysokości 4362 m więc szczyt byłby już w zasięgu ręki.

Chyba nie spodziewaliśmy się, jak wielka różnica jest pomiędzy zdobywaniem Mont Blanc latem i zimą. Przez następne godziny szukamy drogi między odsłoniętymi szczelinami na lodowcu. Gdy zbliżamy się do szczytu Dome du Gouter (4304 m) nadlatuje helikopter, zatrzymuje się nad nami i widzimy wycelowane w nas obiektywy aparatów. Dociera do nas, że jesteśmy tu zupełnie sami. Latem ciągnie tędy sznur turystów marzących o zdobyciu najwyższego szczytu Europy ale dziś, czyli 21-go lutego 2012 roku jesteśmy tu tylko my.

Wchodząc na kopułę Dome du Gouter

jesteśmy już mocno zmęczeni. Zaczyna się ściemniać, robi się bardzo zimno i na dodatek zrywa się mocny wiatr. Zakładamy puchowe kurtki, ale organizm jest już tak wychłodzony, że zmęczenie jest spotęgowane. Kiedy naszym oczom ukazuje się mautki punkcik jakim jest schron Vallot, sytuacja pogarsza się jeszcze bardziej. Aga wydaje z siebie jęk rozpaczy. Najchętniej w tym momencie położylibyśmy się spać w ciepłych śpiworach. Tymczasem czeka nas jeszcze zejście niżej a potem strome podejście do Vallota. Nie ma wyboru, osłaniamy się od wiatru jak tylko się da i krok po kroku posuwamy się do przodu. Gdy dotarliśmy do stromego stoku, prowadzącego do schronu naszym oczom ukazała się kolejna trudność. Stok jest teraz pokryty twardym lodem. Jakże różni się ta trasa od tej, którą pokonuje się latem! Próbuje ugryźć pierwsze kilkanaście metrów i okazuje się, że posuwam się szybko do góry lecz tylko na koniuszkach raków. Mam wrażenie,

że zęby wbijają się na głębokość zaledwie 1-2 mm. Sygnalizuję Adze by obeszła ten teren i poszukała bardziej przyjaznego zbocza. Sam już nie mam ochoty schodzić, tym bardziej, że czuję przypływ sił i zasuwam jak automat do góry po lodzie do samego schronu. Paweł przyjmuje tę samą taktykę, Aga zaś znajduje nieco pewniejszy szlak i wkrótce całą trójką wtaczamy się do metalowego, lodowato-zimnego schronu. Rozkładamy karimaty, rzucamy się do śpiworów i trzęsiemy się jak galarety. Jedynie Paweł jakby nie odczuł tego chłodu tak silnie.



bivak przy Gouterze



w drodze do Vallota



S.O.S. czyli Paweł uczy się z notatek w schronie Vallot

Atak szczytowy następnego dnia przebiegł nadzwyczaj sprawnie. Właściwie przy trudach z poprzednich dni był czymś niemal przyjemnym. Pozwalałam sobie tak napisać, choć na szczyt nie dotarłem. Wyruszyliśmy wspólnie rankiem, jednak nie dawały mi spokoju moje odmrożone palce. Na jednym z przedwierzchołków zdecydowałem się zawrócić, by nie narażać się dłużej na mróz na tej wysokości. Wróciłem do Vallota i położyłem się spać gdyż założyłem, że czeka mnie parogodzinne oczekiwanie na przyjaciół. Jakże zdziwiłem się, gdy niedługo po mnie pojawiła się Aga oświadczając: „Dziku, zdobyłam Mont Blanc”! Niedługo potem pojawił się Paweł, tłumacząc opóźnienie tym, że musiał wykonać parę telefonów ze szczytu. Od momentu, w którym

zdecydowałem się zawrócić, moi przyjaciele w błyskawicznym czasie zdobyli szczyt. Latem ten końcowy odcinek to ciągłe „mijanki” i spowolnione przez inne grupy tempo. Zimą tego problemu nie ma ale i tak jestem pełen podziwu dla szybkości moich partnerów. Kiedy Aga i Paweł znaleźli się na ostatnich metrach przed szczytem, przyleciał kolejny helikopter i również tym razem widoczne były wycelowane w nich obiektywy. Szkoda, że nie mamy dostępu do tych zdjęć. To dopiero byłaby pamiątka.



atak szczytowy



Aga na szczycie



Paweł z flagą Olimpu na szczycie

Resztę dnia oraz noc spędziliśmy w Vallocie. Temperatura w nocy w metalowym schronie spadła do ok. -20 stopni ale czy ma to jeszcze znaczenie? Mont Blanc zdobyty i to zimą! Rano z poczuciem spełnionego obowiązku spakowani ruszyliśmy w dół. Zanim dotarliśmy do schroniska Gouter pobłądziliśmy między szczelinami. Czekaliśmy z tego powodu kilka nieplanowanych podejść by odnaleźć właściwą drogę. W końcu jednak docieramy do schronu i okazuje się, że ktoś w tych dniach oczyścił wejście. Zgadujemy, że musiał tu wczoraj wylądować helikopter i ktoś się napracował, by schron był dostępny. Czyli francuskie służby ratownicze biorą pod uwagę, że jednak ktoś się tu zimą kręci i starają się eliminować nieprzyjemne niespodzianki, typu niedostępny schron zimowy. My jednak

schodzimy niżej, przez kuluar do Tete Rousse, i dalej do schronu Forestiere. Gaz mamy już na wykończeniu. Stosujemy metodę, że na śnieg w menażce kładziemy torebkę owocowej herbaty i pijemy to gdy tylko zrobi się z tego letnia, zabarwiona i aromatyzowana woda. Jedzenia nam jednak nie brakuje. Paweł ma jeszcze mnóstwo kiełbasy i sera. Żartujemy, że jak zwykle zaopatrzyliśmy się w suchy prowiant jak na 2 tygodnie wędrówki przez Antarktydę. Tego dnia mamy jeszcze dużo czasu. Na dół nam się nie śpieszy bo wiemy, że wrócimy tunelem. W ten sposób pójdzie szybciej i bezpieczniej. Wychodzimy więc na grań nad Forestiere i podziwiamy widoki. Do głowy przychodzą różne – raczej niezbyt pożyteczne zajęcia. Skaczemy z nawisów śnieżnych, a nawet pada pomysł spędzenia nocy w jamie śnieżnej. Paweł wykopuje sporych rozmiarów jamę, wchodzi do niej, wyciąga notatki i zaczyna się uczyć do egzaminu na Przewodnika Sudeckiego. Wcześniej uczył się również w namiocie

nad przepaścią, w schronie Vallot oraz w baraku Forestiere. Czy znacie lepsze miejsca do nauki?



w zejściu Paweł biegnie za zdmuchniętą puchową łapawicą



brrr – zimno



nowe schronisko Gouter

24-go lutego schodzimy do stacji kolejki, przechodzimy tunel, przekopujemy się na drugą stronę i przy wylocie poręczujemy z pomocą słupów najbardziej niebezpieczny odcinek. Wychodzimy na zasypane torowisko, mijamy platformę, na której parę dni temu spędziliśmy noc i podążamy

do doliny. Po drodze mijamy miejsca, w których zeszły ostatnio lawiny. Gdzieś tam śnieg obsunął się całkowicie, odsłaniając trawę. Nam udaje się jednak bezpiecznie dotrzeć do cywilizacji. Jest piękna słoneczna pogoda kiedy docieramy do górnej stacji kolejki. W pierwszej kolejności korzystamy z toalety. Oj, jak człowiek mało docenia to, że może w domu usiąść sobie na ciepłej desce. My teraz takie rzeczy doceniamy. Po powrocie do domów cieszymy się tym, że nie musimy topić śniegu tylko włączamy czajnik elektryczny oraz tym, że nie musimy spać z ubraniami i butami w śpiworze bo nie zamarzną nam do rana.

I po to są te wyjazdy. Człowiek bardziej kocha życie.

— END —

Dziku



Paweł w jamie



pyszna herbatka!

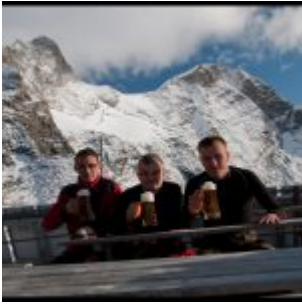


przebijanie się przez tunel

Galeria









Grossvenediger czyli 3x6

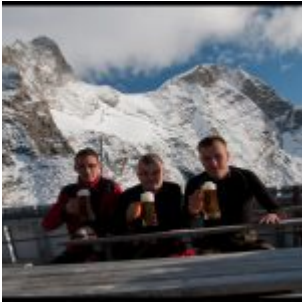
**Cel – Grossvenediger (3666 m n.p.m.) -
zdobyty**

Kiedy – lipiec 2012

Kto – Dziku & Aga & Ola & Tomek









Dołomity – First Blood

Kiedy: VII 2005

Kto: Dziku, Mickos

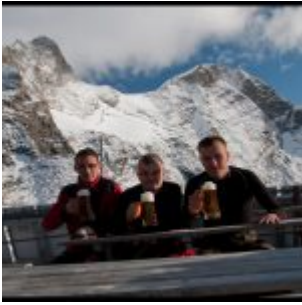
Gdzie: Dołomity – Sasso Piatto (2964 m.)
& Piz Selva (2941 m.)

Zdjęcia: Dziku, Mickos

Tekst: Dziku









Wstęp

W lipcu 2005-go roku postanowiłem przeżyć jakąś przygodę. Było to moje pierwsze lato od rozpoczęcia pełnoetatowej pracy i najprawdziwszy, normalny urlop. Wymyśliłem sobie, że pojadę w góry Rumunii i zdobędę jakąś górę oszałamiającej wysokości przekraczającej 2000 m n.p.m. Cel dla mnie niemal nieosiągalny zważywszy, że dotychczas nie widziałem gór wyższych od Sudetów. Obce były dla mnie słowa „Gubałówka”, „Krupówki” czy nawet „Zakopianka”.

Do samotnego wypadu do Rumunii próbowano mnie zniechęcić na wiele sposobów ale ostatecznie od pomysłu odwiódł mnie kolega, wg którego lepszym pomysłem było pojechanie na Marmoladę. Nazwa śmieszna, zupełnie nic mi nie mówiąca, ale z pomocą Internetu dowiedziałem się, że Marmolada naprawdę istnieje i znajduje się we Włoszech. Kierunek trochę inny niż Rumunia ale co mi tam, spakowany już

jestem, więc co za różnica w którym kierunku pojadę. Jeśli chodzi o kwestię wysokości tej góry (3343 m n.p.m.) i otaczającego ją lodowca, to informacje te brzmiały dla mnie tak obco i absurdalnie, że zupełnie je mój umysł zignorował.

Na dzień przed wyjazdem kolega przyniósł mi do pracy uprząż, a w dniu wyjazdu, bezbronny wobec drwin sprzedawców z pewnego wrocławskiego sklepu górskiego kupiłem jakieś elementy, które nie miałem pojęcia do czego służą. Do tego zafundowałem sobie za całkiem niską, promocyjną cenę kurtkę. Był to jedyny górski element mojego ubioru. I tak w głanach, bojówkach i starej kominiarce na głowie pojechaliśmy wspinać się w Dolomity. O tym, że byłem w Alpach dowiedziałem się dopiero po powrocie.

Poniższa relacja pochodzi z 2005-go roku. Jest to moja pierwsza w życiu relacja z wyprawy więc warto ją tu zamieścić by nie przepadła. Mimo, że nie zachęcam do zdobywania tego typu gór w głanach i bez

kasku, to jednak do dziś jestem zwolennikiem teorii, którą można odnieść do wielu dziedzin życia. Najogólniej ujmując brzmiałaby tak: „Jeśli nie jesteś pewien czy dasz radę wspiąć się na jakąś wysoką górę, to najpierw wejdź na wyższą.”

Dziku'2012

Relacja

8 VII 2005 (piątek)

Wyjazd o 22:00 z dworca PKS we Wrocławiu. Jedzie tylko nas dwóch i kierowca busa – mocno narwany koleś ze skrajnie negatywnym podejściem do życia (życie nie ma sensu, wszyscy kłamią i kradną albo kradną i kłamią, trzeba narzekać bo kto nie narzeka ten się poddaje itp.).

9 VII (sobota)

0:40 – Zgorzelec, przejście granicy, i po

długim nocnym marszu na azymut z potwornie ciężkimi plecakami dochodzimy do dworca po niemieckiej stronie. Tu 2,5 h czekamy na przystanku przed dworcem aż go otworzą. O 4 wchodzimy do budynku i zaczyna się problem z kupieniem biletu w automacie. Pomaga nam koleś z Polski. Wystukuje złe cyferki i kupuję zły bilet ze złą datą. Jednym słowem ZŁ000. W pierwszym pociągu Helga pani konduktor poprawia bilet i jest od tej pory wszystko w porządku, a gdyby mi ktoś wcześniej kasę rozmienił na dworcu to kupiłbym drugi i na początek byłbym 60 E w plecy.

Zaczyna się całodzienne tłuczenie pociągami. Goerlitz 5:05 do Dresden do blabla do Schwandorf, tu czekamy na spóźniony pociąg do Monachium (30 min.). Pociąg do Schwandorfu – brrrr – warunki ekstremalne, klimatyzacja nastawiona na minus 90 stopni w słońcu. Dojechaliśmy do Monachium, tu wsiedliśmy w pociąg do Mittenwaldu, to już będzie granica z

Austrią.

Dalej autostop – blondyna z niezłym burdelem w aucie. Poza tym że umiała mówić w trzech językach – ale żaden z nich nie był polskim ani angielskim – to miło się jechało (może za wyjątkiem momentu gdy oglądała mapę jadąc autostradą i milimetry oddzieliły nas od barierki przy zwężeniu pasa. Wysiedliśmy w Schoenebergu i tu utknęliśmy na noc. Próbujemy znaleźć miejsce na namiot pod lasem ale woła nas Austriak z dubeltówką. Pokazuje coś co sobie tłumaczymy że „jest tu polowanie i się nie wyśpimy”).

Trochę zagubieni idziemy sobie do ładnego domku na ładnej zielonej górze. Gdy dochodzimy ściemnia się już niemal zupełnie. Z tarasu widzimy, że w środku siedzi pięciu gości i ogląda TV. Mickos puka w szybę. Żaden tyłka nie podnosi. Co tam że dwóch typów z plecakami wielkości szafy wychodzi z ciemności i stoi im na werandzie. Otwiera nam nastoletnia

dziewczynka i na nasze pytanie o kawałek pola pod namiot leci na piętro zapytać mamy. Po chwili wraca i mówi tylko: „Wherever you want”. Hmm... żaden z dorosłych nawet nie wyszedł zobaczyć kto przyszedł i o co chodzi. No więc śpimy za chatką z sianem. Dookoła piękne góry.

10 VII (niedziela)

Problemy z wydostaniem się z Schoneberga. Ochrona autostrady kiwa na nas palcem. Stajemy przy wjeździe na autobahna i po długim czasie bezowocnych prób złapania stopa (wstaliśmy o 7) postanawiamy zjeść śniadanie. Po śniadaniu ponownie próbujemy. Niemal natychmiast zatrzymuje się koleś i wiezie nas do granicy z Włochami do miasta Brenner.

Tu w publicznej toalecie robię kupę za 500 zł (czyli gubię okulary, które zostawiłem przed kabiną i gdzieś zniknęły), myjemy się (nareszcie ciepła woda!) i łapiemy (oj trochę postaliśmy w

deszczu) stopa do Vipitieno (niemiecka nazwa miasteczka brzmi Sterzing – bardzo uroczo). Tu się zaczynają schody, i to spore. Coraz trudniej złapać stopa. Mijają nas same drogie, wypasione auta i żadne nie chce zabrać dwóch załadowanych bagażem i niezbyt schludnie ubranych typków. Idziemy parę km. i nikt się nie zatrzymuje (czasem stoimy po 40 min. i machamy ale bez rezultatu) . Wreszcie popołudniu zatrzymuje się parka z Rzymu – na oko 45 letnie małżeństwo. Psujemy im bagażnik naszymi plecorami ale i tak zawożą nas pięknymi, mega-krętymi trasami (obaj prawie rzygamy) do Selva Gardena (niem. Wolkenstein – równie ślicznie).

Tu miotamy się jak szaleni nie wiedząc dokąd się udać. Wkoło same bardzo strome góry – to już Dolomity. Idziemy gdzieś na oślep i docieramy do uroczonego miasteczka bez ludzi. Sklepy i knajpy wyglądają jakby właściciele i klienci nagle zniknęli. Wszystkie towary powystawiane na zewnątrz, żadnych oznak że ktoś

pilnuje. Jedynie w aucie siedzi dziadek z lornetką wpatrujący się w ścianę lasu i jakaś panna. Czujemy się jak z innej bajki. Siadamy pod jednym z domów (dom o nazwie Alpina – jest na zdjęciu) i zajadamy kolację. Przez dłuższy czas w budynku nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Nikt też nie odpowiadał na pukanie. Po zmroku złapałem za klamkę i okazało się że drzwi są otwarte. Wchodzimy do środka i srając w gacie zwiedzamy dom świecąc po kątach latarką (nie wiedziałem wtedy jeszcze że istnieją czołówki więc na wyprawę zabrałem lampkę od roweru).

Dom był opuszczony, nie wyglądało żeby ktoś miał tam w najbliższym czasie zaglądać. Parę mebli, pęknięta ściana, stare wykładziny.. ale to powodowało że czuliśmy się jak w typowym japońskim (Koreańskim? Chińskim?) horrorze. Najbardziej wystraszeni byliśmy oglądając pokój dziecięcy – obdarte do połowy plakaty na ścianie, grzechocące pod nogami zabawki, kasety magnetofonowe,

warcaby, lalki, wszystko to oglądane w świetle latarki przyprawiało o mocne bicie serca. Jednak padający coraz silniej na dworze deszcz spowodował że postanowiliśmy przekimać w środku. Karimaty rozłożyliśmy w przedpokoju. Jeszcze przed pójściem spać zabarykadowaliśmy drzwi. Te do pokoiw jakoś omotaliśmy liną bo najbardziej baliśmy się że to stamtąd jakieś dziecko wyjdzie. Pod wyjściowe podłożyliśmy tylko wieszak który miał spełniać rolę klina. Słuchając kapania kropel z dachu, przeczekaliśmy 15 minut wizji typu „Klątwa”, „Dark water”, „The Ring” itd. I zasnęliśmy.

Nic nas nie zjadło więc rano ok. 7-mej zmyśliśmy się.

11 VII (poniedziałek)

8:52 – autobus do Passo Sella. Na górze – w „schronisku” barman-playboy (zainstalowane języki: niemiecki i

włoski) za ładą odmawia nam zostawienia plecaków w hmm... restauracji hotelowej i mamy mały problem bo z plecakami to się nie powspinamy. (Ceny – 18 E / 6-osobowy pokój i 26 E / 2-os. pokój.)

Na nasze szczęście natknęliśmy się na szefową, panią bardzo miłą, która prowadzi nas do środka i bez żadnych opłat pozwala nam zostawić plecaki. Na szlak ruszamy o 10:30 z ambitnymi planami zdobywania szczytów. W tym celu dzień wcześniej uczyłem się, jak się zakłada uprząż, a dodatkowo Mickos mówił mi co mam z czym zmontować, żeby powstała lonża do asekuracji. [Dopiero po latach dowiedziałem się od kolegi po kursie wspinaczkowym, że moja lonża mogła nie zadziałać jak należy, gdyż drugi koniec liny miałem przywiązać do upręży a wtedy w Dołomitach wkładałem go do kieszeni żeby mi się nie pałętał]

Wleźliśmy krętym szlakiem po pokruszonych skałach do pierwszego schroniska. Tu

spotkaliśmy ekipę z Polski, która gdy usłyszała że się na via ferrate wybieramy przekonana była, że jesteśmy z jakiegoś klubu wspinaczkowego . Nie przyznałem się, że wczoraj po raz pierwszy zakładałem uprząż, a poza tym nawet nie bardzo wiem gdzie leży Zakopane. Po krótkiej rozmowie udaliśmy się do schroniska Viacenza z którego odbijała ferrata.

Stąd ruszyliśmy już samotnie na szczyt. Widoki wspaniałe.

Trasa nie za dobrze oznaczona. Albo żadnych czerwonych kropek na skałach albo za dużo bo rozchodziły się w różnych kierunkach. Mało zabezpieczeń za to sporo wspinaczki i o 16:15 Sasso Piatto (2964 m.) zdobyte! Tu parę fotek i na dół (już stromym piargiem, bez użycia rąk).

Po dość szybkim (zdecydowanie za szybkim dla moich kolan) zejściu na ok. 2200 m. czujemy że mamy dość. Nogi do d.. wchodzą.

Po paru godzinach marszu w trakcie którego spotykamy parę siwiutkich emerytów (minimum 70 ale raczej 90 lat) którzy chwalą się że maszerują od 8 godzin w okół tej grupy górskiej, co uważam było wielkim wyczynem zważywszy że przed nimi jeszcze co najmniej 4 godziny marszu! O 20:15 docieramy do Passo di Sella. Sił już nie mamy na nic więc zostajemy u miłej pani na noc. Okazja niebywała – płacimy 12 E / os. za pokój na poddaszu + 3 E za gorący prysznic. Jeszcze przed 23-cią wciągamy fasolkę, potem kawka, herbatka, parę kromek z pasztetem i pod.. ciepłutką puchatą pierzynę z najprawdziwszego pierza z jakichś pewnie alpejskich bocianów. Acha – posiłek gotowany na gazówce oczywiście (na czujnik dymu w pokoju założyliśmy na wszelki wypadek woreczek i gumkę).

12 VII (wtorek)

Wstajemy o 7:30. Po wczorajszej wędrówce czuję kolano, które nieźle dostało przy

schodzeniu. Dziś wybieramy się na Piz Selva. Niedaleko – bo 20 min. od schroniska – zaczyna się via ferrata – czyli niemal pionowa ściana prowadząca na szczyt.

Ferrata ta jest jedną z najefektowniejszych ubezpieczonych dróg wspinaczkowych w Dołomitach. Prowadzi przez północno-zachodnie ściany Selli, na szczyt Piz Selva (2941m.).
[<http://www.dolomity.pl/viaferrata.php?id=10>]

Na stronkach można poczytać opis ferraty, polecam. My wspinaliśmy się od ok. 10:30, a w pierwszym obszernym miejscu po zdobyciu ściany znaleźliśmy się chyba dopiero około 14. I tu po raz pierwszy zobaczyliśmy kozice, nawet całe stado wylegujące się na pobliskich skałach.

Po pokonaniu drugiej ściany już nie tak trudnej jak pierwsza i wspięciu się na szczyt dech nam zaparło. Przed nami

rozciągał się prawie płaski księżycowy krajobraz, a w oddali jeszcze wyższy szczyt (Piz Boe 3152 m.)

Teraz kilka godzin marszu skrajem przepaści i zaczynamy stromo schodzić w dół (ajaj znów kolano po dupie dostało). Krajobraz przypomina góry skaliste (wielki kanion normalnie no) by potem przemienić się w przepiękną scenerię w postaci zielonych łąk, iglastych drzewek, strumyków, wodospadów i oczywiście kozic, koło których przechodziliśmy w odległości kilku kroków.

Natknęliśmy się na miejsce w którym kozice były dokarmiane bryłami soli (tak przynajmniej ja sobie to wyobrażam :P) i nie omieszkaliśmy trochę tej soli polizać no bo w końcu .. ZA DARRMO! Parę godzin marszu w sielankowej scenerii i wychodzimy z lasu wprost na.. szosę i autobus pełen no oczywiście niemieckich emerytów. Pomachałem do 100 latków bo widać było że osoba poniżej 40 roku życia

jest dla nich w tamtym rejonie nie lada atrakcją. Koło drogi jeszcze pooglądaliśmy kilka świstaków (żywych, nie przejechanych) i wróciliśmy do schroniska, gdzie znów zostaliśmy na noc na naszym strychu. Jak w Titanicu – tylko tu biedni pod dachem a czym bogatszy to bliżej parteru) ale ja tam szczęśliwy byłem bo się znów wykąpałem!

13 VII (środa)

Spaliśmy do 9:30! Chyba darujemy sobie Marmoladę ze wzgl. na odległość i niski współczynnik czas/siła. Tak więc poleżeliśmy na słońcu do jakiejś 14 godziny i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Pierwszy etap do Selva Gardena (niemiecka niewdzięczna-niedźwieczna nazwa Wolkenstein), dokąd podwiozło nas dwóch Włochów, którzy poznali kiedyś jakieś Polki i potrafili powiedzieć po Polsku „ładne masz oczy” i parę przekleństw. Z Selvy idziemy jakiś czas i znów stop – 2 kolesi zawiozło nas do

Weidbruck. Tam przekimaliśmy się w polu kukurydzy, blisko autostrady i torów kolejowych, ale spało się dobrze.

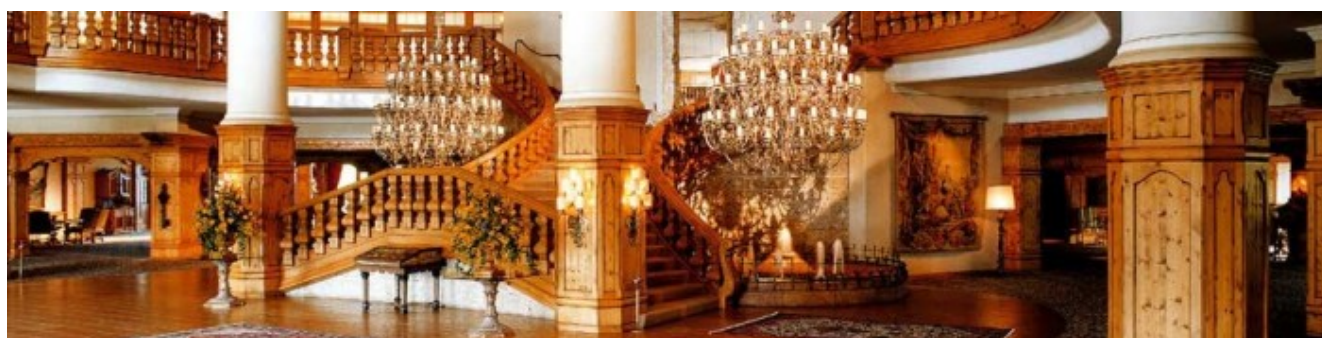
14 VII (czwartek)

Rano dalej stopem, zatrzymała się panienka bardzo miła. Mimo, że jechała tylko do Brixen zawiozła nas dalej za miasto do wjazdu na autostradę. Stamtąd uprzejmie pogonili nas policjanci więc poszliśmy na zwykłą drogę gdzie auta zapierdzielały chyba tylko około 180 km/h. Po dłuższym czasie zatrzymał się Turek, który nie chciał nam wierzyć że nie przyjechaliśmy tam do pracy bo dużo Polaków się tam do roboty zjechało ostatnio. Wysadza nas na byłej austriacko-włoskiej granicy w Brenner. Tu łapiemy najpierw 'batmobila' ze świetną laską za kółkiem, a potem koleś jeszcze jeden się zatrzymał, ale obydwójga puszczamy gdy dowiadujemy się, że tylko do Innsbrucka jadą. Trzeci koleś, który się raczył zatrzymać wygląda jak rasowy

zboczeniec i wszystko wskazuje na to że nim jest. Spędza z nami cały dzionek. Obwiał po okolicznych górkach, pokazał bardzo ładne austriackie widoczki, zawiózł do 5-gwiazdkowego Interalpen – Hotel Tyrol (na zdj. poniżej) na szczycie góry, a tam zaproponował nocleg.

Ciekawie wyglądaliśmy – śmierdzący, w moro i brudnych glanach wśród jakichś arabskich książąt w wieczorowych strojach przechadzających się z rodzinami w wypełnionym wielkimi kryształowymi żyrandolami i pięknymi dywanami salonach lub przy hotelowym basenie. Po usłyszeniu odmowy co do spędzenia nocy w tym rajku dla chyba jednych z bogatszych ludzi na świecie zaproponował nocleg u siebie. I tu również nasz drogi 'przewodnik' usłyszał sprzeciw, ale niezniechęcony zabrał nas do Mittenwaldu gdzie w tradycyjnych bawarskich knajpach nakarmił nas, napoił, zapłacił wszelkie rachunki i co najważniejsze – pozwolił się zmyć do lasu, gdzie próbowaliśmy dojść do siebie

po tym wszystkim co nas tego dnia spotkało. Nockę spędziliśmy w namiocie na placu zabaw całkowicie obleżonym przez lisy, które wylazły z lasu.



PS. Przypomniała mi się jeszcze jedna akcja tego dnia godna opisanie. Człowiek który zabrał nas z przełęczy Brenner i obwoził po wcześniej opisanym hotelu i innych ciekawych miejscach zabrał nas na wzgórze gdzie stoi największy dzwon w całych Alpach (<http://www.friedensglocke.at/>). Tam przedstawił nas człowiekowi

odpowiedzialnemu za włączanie dzwonu (codziennie o godz. 17:00) i zostaliśmy upoważnieni by tego dnia sami tenże dzwon 'odpalić'. Czułem się nieco dziwnie stojąc na schodkach i włączając niepozorny przycisk (przed nami ludzie stojący i czekający aż dzwon zacznie bić) po którym kielich zaczyna się huścić i głośnym biciem wypełniać okoliczne góry i doliny. Potem jeszcze nasz przewodnik wciskał nam (brrr), że na tablicy pod dzwonem wyryte jest jego nazwisko, jako jednego z fundatorów tegoż właśnie dzwonu.



15 VII (piątek)

Rano niespodzianka – rozdzielamy się i od

tej pory wracam do Polski sam. Pociąg do Monachium i dłuuuuga samotna podróż niemieckimi pociągami na wschód rozpoczęta. W Monachium musiałem zaczekać wiele godzin do północy by jechać na wochenende ticket co pozwoliło na tańszą podróż. Poszedłem więc na poszukiwanie jakiegoś parku, a to co znalazłem przeszło moje oczekiwania. Park był duży, zielony i pełny panienek opalających się topless. Nawet wycofałem się do wejścia poczytać tabliczki bo pomyślałem że park jest tylko dla nudystów ale po chwili dostrzegłem także paru ubranych ludzi. Niestety z powodu zgubionych okularów nie bardzo jak było oceniać otaczające mnie biusty więc czas spędziłem na czytaniu książki. O północy wsiadłem w pociąg do Augsburga.

16 VII (sobota)

Tłukę się po dworcach od wczoraj. Pociąg do Hof miał opóźnienie więc mam w plecacy 2 h bo do Zwickau pociąg uciekł i czekam na

drugi. Właściwie to od czterech dni się nie kąpałem więc i śmierdzieć musi ode mnie straszliwie. Byle parę godzin wytrzymać, a jak już usłyszę 'ludzki' język to będę jak w domu. No! dojeżdżam do Goerlitz. Ale jestem głodny.

— END —

Monte Rosa – spacer po 4 tysięcznikach

Kiedy: VIII 2011

Kto: Dzik, Paweł, Aga

Gdzie: Szwajcaria – Monte Rosa

Zdjęcia: Dzik

Tekst: Aga

Trzeba było w końcu gdzieś pojechać...
Każda niespokojna, górską dusza wie, że

jej weltschmerz mogą ukoić tylko lodowce, granie, śniegi z odpowiednią dawką adrenalinę. Padło na Monte Rose. Możliwość zdobycia tak wielu czterotysięczników na jednym wyjeździe kusiła niepomrotnie, a trzeba przyznać, że nasza trójka jest wyjątkowo nieodporna na tego typu pokusy.



1 dzień

Wyjechaliśmy na początku sierpnia w składzie:

- ja – pasjonatka wszystkiego co ma powyżej 700m n.p.m., a w szczególności powyżej 3000 m n.p.m. jest lodowe, graniowe, z ekspozycjami i do wspinania
- Dzik.mania – zaliczania, kolekcjonowania, zdobywania szczytów koron Sudetów, Europy, Gór Europy i tylko on wie czego tam jeszcze
- Paweł – ówczesny prezes naszego Klubu, coraz bardziej zatracający się w

wysokogórskich ambicjach

Po 13h jazdy dotarliśmy do Tash, gdzie z bólem serca zapłaciliśmy 40 euro za tygodniowy parking Dzikowej „Baryłki”. Taxi Freddy podwiozł nas do Zermatt (6 CHF/os). Tylko chwilę dyskutowaliśmy o możliwości wjazdu kolejką, ale dbając o czystość stylu (i nasze anorektyczne portfele, cena ok. 30 euro/os) zdecydowaliśmy się iść pieszo. 20kg na plecach dało nam popalić, ale po 10h dotarliśmy pod schr. Monte Rosa. Pierwszy nocleg na 2300m n.p.m.



Zrzut.pl

2 dzień

Pobudka wcześnie rano, „mleczne starty”, plecaki na zbyt obolałe plecy i w drogę. Trasa od schroniska jest bardzo słabo oznakowana, lub aż nazbyt dobrze-kamienne kopczyki prowadzą nas w każdym możliwym kierunku. Idziemy początkowo ścieżką, później kluczymy między głazami,

każdy swoją najwłaściwszą trasą.

Po paru godzinach z trudem i pianą na ustach, gramolimy się pod ostatnie podejście, wzbudzając litość i zainteresowanie naszymi plecakami. Szlak jest tu lepiej oznaczony, teraz irytują obsuwające się spod nóg kamienie. Wymęczeni znajdujemy świetne miejsce pod namiot przy samym lodowcu. Wokół jest wiele takich platform, osłoniętych murkami, ale tylko jeden- nasz namiot. Rozbiliśmy biwak już koło południa, po wypoczynku i popasie wyruszyliśmy na rekonesans po lodowcu. Początkowo jest on bardzo poszczeliniony, ale wszystkie szczeliny są widoczne. Dobrze jest go obejść z prawej strony, co też zrobiliśmy. Ten mały spacer okazał się niezapomniany z racji zachodu słońca na tle alpejskich olbrzymów. Natura zawstydziła photoshopa. Naładowani pozytywną energią „niczym grzybki w Czarnobyli”, schodzimy do namiotu by spotkać nieoczekiwanego gościa.. Dzik

zauważył go gdy wychodził z kubka po zupce. Wredne myszysko zjadło nam pół jabłka, bakalie i wygryzło dziurę w namiocie.



3 dzień

Od samego początku zapowiadało się kiszgowato. Wiatr próbował za wszelką cenę porwać nasz namiot na strzępy. Wyjście z ciepłych śpiworków na ten huragan w pełni potwierdziło tezę, że nie mamy jakiegoś ośrodka nerwowego w mózgu. Przez parę godzin napieraliśmy na Dufourspitze, mimo, że prawie nas zmiatało ze stoku. Na przełęczy, mając przed sobą wizję jak nas zdmuch...je z grani, decydujemy się na odwrót. Tnie lodem, zapiera oddech, nie czuję palca- najwyższy czas stąd spadać. O 9 jesteśmy znów w namiocie. Jak na złość w południe wypogadza się i jest po prostu pięknie. Chłopaków rozpira energia, więc

wybierają się na rekonesans jutrzejszej drogi, ja spędzam resztę dnia opalając się i objadając.. sielanka.



4 dzień

Nikt nie ma ochoty próbować znów klasyczną drogą, więc decydujemy się przenieść nasz cały majdan na wysokość ok. 4000 m n.p.m. i stamtąd atakować pobliskie szczyty. Tyramy przez lodowiec i mimo, że wyszliśmy dość wcześnie, idziemy w pełnym słońcu, pot leje się strumieniami. Lodowiec...hmm...jest co najmniej interesujący.. lodowe groty zieją błękitem, każdy mostek śnieżny przyprawia o palpitację serca, zaliczamy nawet lodowy wspin po serakach. Pod koniec drogi stało się coś niewiarygodnego- Dzik zaniemógł. Mniej by mnie zdziwił tabor z tańczącymi Cygankami na lodowcu, niż ślamarzący się z tyłu Dzik. Znajdujemy sobie wypłaszczenie na

wys. ok. 4200m, ok. 500m od „szlakowej autostrady” i budujemy z Pawłem lodowy mur wokół namiotu. Paweł w budowlanym zapędzie stworzył nawet kibel. Potem wskoczył sobie jeszcze na parę czterotysięczników, jak gdyby nigdy nic. Tak sobie myślę, że ta niespożyta energia, którą epatował Paweł i to wyczerpanie Dzika mogły mieć ze sobą coś wspólnego...



Zrzut.pl

5 dzień

Pogoda idealna, spręż jest, „samo się nie wejdzie”, napieramy! Niestety bez Dzika dalej w kiepskiej formie postanawia zostać w namiocie, zresztą na Duforze już był rok wcześniej. W szybkim tempie zdobywamy Zumsteinspitze i ruszamy dalej „trasą” na Dufora. „Trasa” okazuje się być fantastyczną drogą wspinaczkową (jak później się okaże AD III). Dla takich chwil się żyje. Dla takich dróg

poświęcamy swój cały wolny czas, znosimy konflikty rodzinne, wydajemy wszystkie oszczędności, wnosimy dziesiątki kg na plecach. Szczyt osiągamy po 3h. Schodzimy stromym żlebem, po łańcuchach na przełęczkę, gdzie zostawiamy plecaki i na „lekko” zaliczamy Nordenda- luz blues. Powrót. Tu zaczynają się problemy. Okazuje się, że droga powrotna do namiotu jest tylko jedna, ta, która przyszliśmy, przez grań. Ponadto zgubiliśmy gdzieś mapę. Decydujemy się wejść na pobliską przełęcz, licząc, że za nią jest „nasza przełęcz”. Jednak nie. Namiot jest za dwoma graniami i nie damy rady do niego dziś wrócić. Paweł podsuwa najlepsze rozwiązanie- schodzimy 2000m w dół, do schr. Monte Rosa. Zniszczeni słońcem, wysiłkiem, ale upojeni sukcesem, meldujemy się w schronisku o 20. Nie wiem co było gorsze: nocleg za 100zł bez prysznic, czy kolacja składająca się z połówki czekolady...



6 dzień

Pobudka 6 rano i znów dymanie do góry, 1500m przewyższenia, do namiotu, do śniadania! Od wczoraj zjedliśmy może po 400kcal. O 12 jesteśmy znów w kochanym namiociku, woda już się gotuje na pyszną zupkę chińską z kabanosem i olejem. Okazało się, że Dzik wydobrzezał na tyle, że zaliczył sobie cztery kolejne 4tysięczniki. Niestety wysokość, brak tlenu, wcześniejszy kryzys odbiło się trochę na jego psychice.. Biedaczek..



Słodkie lenistwo, słodkie czekoladki.. Wieczorem spacer na pobliski Parrotspitze, Paweł w tym czasie obleciał Ludwigshöhe, Piramidę Vincent i Cerro Negro.

7 dzień

Po tygodniu pobudek o 2 nad ranem (gotowanie zajmowało nam ponad 2 godziny) miałam dość. Wyprana zupełnie z sił zostałam w namiocie, podczas gdy chłopcy poszli na [Lyskamm](#). Nawet się dobrze nie wyspałam, gdy wrócili po 4 godzinach, urzeczeni widokami, zafascynowani nawisami i trzęsący się z emocji. Chcieli mi chyba bardzo dokładnie mi uświadomić ile straciłam, pokazując zdjęcia jak z national geographic. Dokładny opis ich wyjścia znajdziecie na [dzikumaniak.pl](#). Zdjęcia: 3585, 3620, 3626, 3635, panorama 1 Biorąc wszystko zusammen do kupy, okazało się, że żadnej góry nie zdobyliśmy w pełnym, trzyosobowym składzie. Weszliśmy więc na Piramidę Vincent. Zaliczyłam jeszcze solówkę na Cerro Negro i Ludwigshöhe. Wylegując się później w śpiworach uznaliśmy, że skoro jest tak wcześnie to możemy zejść w dół, pod lodowiec. To był błąd. Jeśli ktoś, kiedyś proponuje Wam schodzenie

łodowcem o innej porze niż bardzo wczesny ranek, stanowczo krzyczcie „nie!”. Zbiegając po łodowcu prawie nie połamaliśmy nóg, było bardzo niebezpiecznie, nieprzyjemnie i stresująco. Na koniec jeszcze skręciłam kostkę.



8 dzień

Wracamy i wracamy.. Dwa razy wolniej niż wchodziliśmy przez moje ślimacze tempo spowodowane opuchniętą kostką. Okwiecone Zermatt wyglądało i pachniało pięknie, w przeciwieństwie do nas, tygodniowych „niedomytków”. W Tash odwiedzamy jeszcze kampingowe prysznice i ruszamy Baryłką do domu.



Wyniki:

Prezes: 10 szczytów

Aga: 8 szczytów

Dzik: 8 szczytów

INFORMACJE PRAKTYCZNE:

- Na terenie Szwajcarii obowiązują winiety, są tylko roczne, koszt ponad 100zł
- Wszystko co we frankach jest kosmicznie drogie, np. woda w schronisku 7CHF
- Warto mieć dobrą, dokładną i aktualną mapę, szlaki kiepsko oznaczone
- Świetne miejsca pod namiot znajdują się ok. 2 godz za schr. Monte Rosa- kamienne platformy, otoczone murkami, pod samym lodowcem. Mogą być problemy z wodą
- W schronisku Monte Rosa nie ma pryszniczy ani pitnej wody (ale nie wybrzydzaaliśmy)
- Z Tash do Zermatt można dostać się tylko busem lub pociągiem, samochód trzeba zostawić na parkingu (za tydzień zapłaciliśmy 40euro)
- Klasyczna droga na Dufourspitze (od schroniska) nie przedstawia większych trudności, droga z Zummsteinspitze ADIII

wymaga uniewrażliwienia na duże ekspozycje, przydadzą się też większe kości, friendly i taśmy

Tekst: Agnieszka Kruk

Zdjęcia: Dzik

Model (przeważnie): Prezes (Paweł Kudła)



— END —